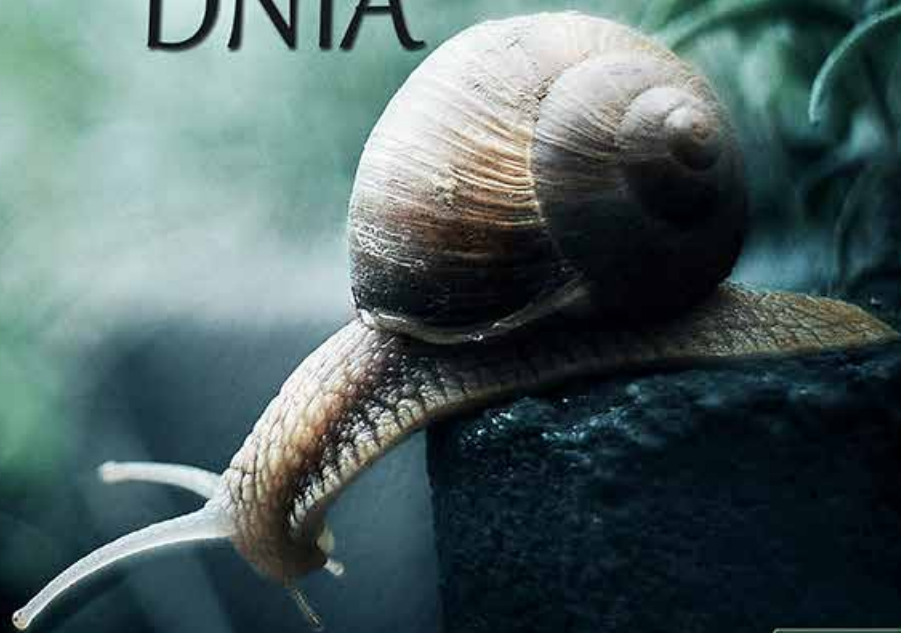


Andrzej Chodacki

WYCZEKUJĄC
DNIA



Lena

Dla chwały Ducha Świętego drukuję.

*Mojej Mamie z miłością
polecam*

Andrzej Chodacki

WYCZEKUJĄC DNIA

Lena

Projekt okładki:
Anna Lewiak

Fotografie:
Iwona Baran

Grafiki w tekście:
Anna Szymańska

Redakcja
Romuald Lazarowicz

Korekta:
Agnieszka Thoman

Skład, łamanie, layout:
Lena

Copyright 2015 © by Andrzej Chodacki

ISBN 978-83-64195-14-3 (e-book)

Wydawnictwo „Lena”

ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław
tel. 603 96 46 39

www.wydawnictwo-lena.pl

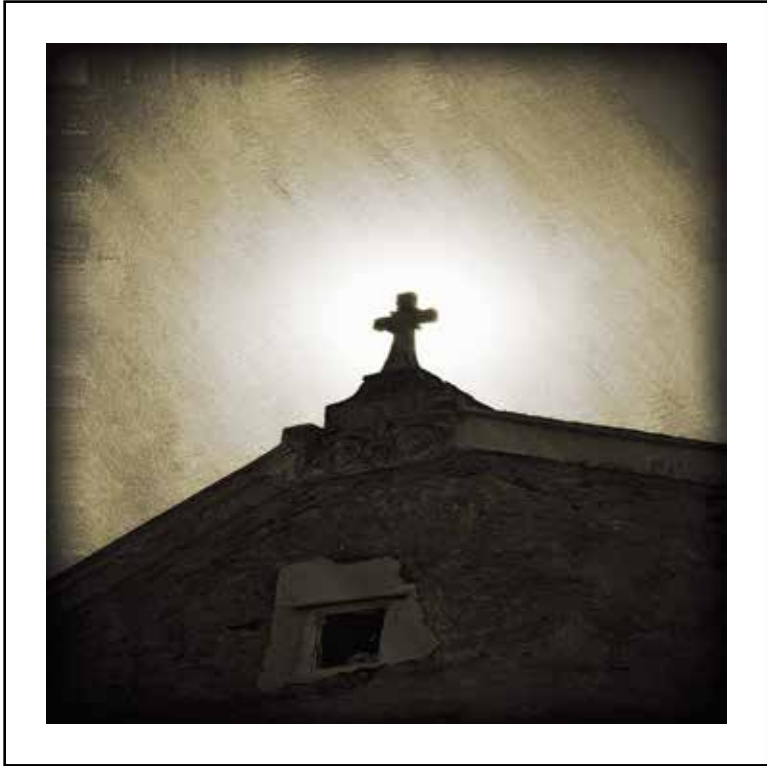
Spis treści

Stał się cud
Usłyszeć ciszę
Matka
Fordon świadomości
Chleba naszego
Umrzeć za coś
Nieludzka ziemia

Tadeusz Karabowicz

Wrażliwość literacka na otaczający świat wyrażona
w parabolicznych opowiadaniach Andrzeja Chodackiego

Stał się cud



*Wielką moc posiada
wytrwała modlitwa sprawiedliwego*
List św. Jakuba 5,16

1.

Dzień był wtedy piękny. Początek stycznia, mroźno jeszcze, ale rześko, zdrowo w powietrzu. Stanisław siedział w pokoju przy stygnącej herbacie. Krystyna, jego żona, pobiegła znów do kościoła. Właściwie poczłapała, bo od lat miała problemy z kolanami.

Mówił jej: „Gdzie leżiesz? Widzisz, że zdrowia na te codzienne msze nie masz”. Ale ona tylko uśmiecha się wtedy głupio i idzie, mimo że zdrowy rozsądek nakazuje w domu zostać.

Ile to już lat unikał dialogu z Bogiem? Pewnie z pięćdziesiąt. Wtedy, przed ślubem poszedł do spowiedzi, bo ona tak chciała. Piękna była. Może trochę naiwna, dziś rzekłby – prosta. Ale piękna i nie mógł jej wtedy niczego odmówić. Potem chrzty dziewczynek, komunie i bierzmowania. Dalej śluby, choć on traktował to wszystko jako świeckie ceremonie, okraszone tradycją białych sukienek i pełnych jedzenia stołów.

Spojrzał w kierunku okna. Potem zatrzymał wzrok na obrazie. Stycyniowi powstańcy bronią przed zaborcą polany, ostatniej reduty wolności. Prochu brakuje, jeden poważnie ranny leży pod drzewem na śniegu. Koń, zaniepokojony wystrzałem z uzbrojonego w długi bagnet karabinu, wzdryga się nerwowo. To dobry obraz. Namalował go wiele lat temu, w rocznicę powstania. Nikt nie chciał kupić tego obrazu. Kto by zresztą mógł? Chłopi odwiedzający go z rzadka wskazywali tylko palcem ścianę, mówiąc:

– O, kuń!

Bez wystaw, promocji, prezentacji twórczości na wernisażach nie da się czegokolwiek sprzedać. Spojrzał niżej. Pod serią obrazów wisiał kilim zrobiony przez żonę. Dalej na prawo, w rogu figura Matki Boskiej, a obok drzwi duży krzyż. Zatrzymał wzrok na Chrystusie.

A może jego namalować? – przyszło mu do głowy, ale już po sekundzie uciał tę myśl. Tyłu dotąd malowało: El Greco, Correggio, Murillo, Goya... Akurat Jezus nie może narzekać na brak zainteresowania.

Sięgnął po herbatę. Wystygła.

Gdzie ta kobieta! Nawet herbaty nie ma w domu komu zaparzyć!

2.

... i pozwól mi, Boże, żyć tylko tyle, abym mogła wymodlić zbawienie jego duszy. Nasze córki w Warszawie zapomniały o Tobie. Wiadomo, stolica, wielki świat. Mają wszystko, po co im Bóg? Wierzę, że i o nie też się kiedyś upomnisz. Ale mój Stasiek, mój mąż, przecież pozostała mu tylko moja modlitwa. Nawet nasz proboszcz tyle razy próbował. Pocziwy człowiek, ale stanowczy. Złapali się za łby i drogi wyjścia nie widać. Żaden nie chce ustąpić. A tu trzeba w ciszy Ciebie o ratunek prosić. Ty przecież znasz serce Staśka. Wiesz, że to nie jest zły człowiek. Tylko zagubił się, w pychę popadł.

Więc pozwól mi, ile czasu będzie trzeba, abym mogła wyblagać przed ołtarzem, na kolanach. Aby, kiedy przyjdzie ten dzień... gdy przyjdzie czas, by wiedział, dokąd pójść. W którą stronę do Ciebie się udać.

3.

Wtedy, w 1978 roku, biskup skierował mnie do pracy w nowej parafii. Nie czułem się z tym dobrze. Duże miasto kojarzyło mi się z nieustannym kaszlem, bólem zatok i częstymi wizytami u laryngologa. Jednak posłuszeństwo w Kościele jest rzeczą bardzo ważną. Złożyłem tylko jedną pokorną prośbę o zmianę decyzji ze względu na mój stan zdrowia. I o dziwo, biskup się zgodził! Mała przygraniczna parafia potrzebowała pilnie wikariusza. Myśl, że jadę do oczekujących mnie ludzi, ogrzewała moje serce odczuwalnym ciepłem. Nie wiedziałem, co mnie tam spotka. Ale byłem pewny, że będzie to coś naprawdę wspaniałego.

Teraz, gdy to piszę, wiem, że to Duch Święty pokierował mną, abym ratował duszę tego człowieka, Stanisława Grzegocińskiego, malarza, który zadziwił mnie i pomnożył mą wiarę, będąc przyczyną moich wielkich, życiowych rekolekcji.

Gdzie jest teraz pan Stanisław? Pewnie prosi Boga, aby Ten pomógł mnie. Wierzę w to. Wierzę, bo widziałem na własne oczy najprawdziwszy cud.

4.

W domu Grzegocińskich rekolekcje adwentowe to był trudny czas. Krystyna była pobożna, więc, choć z ogromnym trudem, codziennie udawała się do odległej o półtora kilometra kaplicy, by tam modlić się o nawrócenie męża. Stanisław ani myślał ruszać się z domu. Po tylu starciach z proboszczem obaj zgodnie doszli do wniosku, że Grzegociński jest zdeklarowanym poganinem i tak już pozostanie. Nie, żeby proboszcz nie próbował. Za każdym razem, od tylu lat, zachodził do domu w środku wioski, by od progu wysłuchać gorzkich słów Stanisława i zostać odprowadzonym wzrokiem zdrętwiałej wstydem Krystyny. Gniew na zatwardziałego grzesznika opuszczał proboszcza już dwa domy dalej, bo przecież Jezus nie do zdrowych przyszedł na świat, ale do tych najciężej chorych na duszy.

Proboszcz ucieszył się więc bardzo, gdy w jego parafii pojawił się młody, trzydziestoletni wikary, pełen sił i dobrych intencji. Skierował go z ulgą na kolędę, a gdy relacjonował stan religijności mieszkańców wsi, zamiast informacji o Stanisławie Grzegocińskim, tylko machnął ręką. Wikariusz, ksiądz Tomasz Kostecki nie wiedział jeszcze dokładnie, z czym ten pełen rezygnacji gest może się wiązać, ale nie tracił nadziei, że nad wszystkim pozostaje przecież opatrnościowa ręka. Przyjął więc obowiązek kolędy z radością i głębokimi oddechami mobilizował się przed podjęciem ewangelizacyjnego zadania.

A dzień był wtedy jasny. Niby zima, ale tyle radości widać w krystalicznie czystym powietrzu. Kolęda ruszyła, a wraz z nią rozmowy w domach o Bogu, o ludzkich oczekiwaniach, potrzebach, radościach i utrapieniach. Za każdym razem, gdy wikary wychodził z odwiedzanego domu, dziękował Bogu za ten piękny zachód słońca, który coraz barwniej malował niebo nad wioskową drogą. Obiecywał modlitwę za życzliwych ludzi, a za grzeszników szykował w myślach mszę przebłagalną.

Powoli zbliżał się zmierzch, a wraz z nim kolęda kierowała młodym księdzem w stronę domu w środku wsi, gdzie takie wielkie rzeczy miały go niedługo spotkać. Około godziny szesnastej młody kapłan stanął na progu tego domu. Uczynił znak krzyża i wezwał na pomoc Michała Archanioła. Potem wyciągnął rękę i nacisnął klamkę drewnianych,

zdobionych drzwi. Zapach pieczonego chleba owiał go w sieni rado-
snym wspomnieniem. Zaraz otwarły się drzwi gdzieś głębiej i światło
padło na starannie wysprzątaną drewnianą podłogę.

– O mój Boże, toż to ksiądz dobrodziej! – usłyszał kobiecy głos. –
Prosimy do środka, prosimy.

Za drzwiami stała niska, krępa kobieta, wiążąca naprędce kolorową
chustkę na głowie. Szybko zdjęła fartuch ochraniający granatową, weł-
nianą spódnicę zakończoną na dole pomarańczowymi paskami i wy-
gładziła materiał nerwowym ruchem. Gdy ruszył za nią, zauważył, że
kuleje na obie nogi. Przeszli przez kuchnię, na końcu której kobieta,
odwracając do księdza uśmiechniętą twarz, otworzyła kolejne drzwi.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, pokój temu domowi –
oznajmił ksiądz uroczyście, wkraczając do gościnnego pokoju.

– Na wieki wieków – tylko kobiecy głos doleciał gdzieś z boku.

– Dobry wieczór, co ksiądz do nas sprowadza? – gdzieś z głębi
pomieszczenia kapłan usłyszał niespodziewaną w tych okolicznościach
odповідź. W półmroku, przy lampce siedział w rogu pokoju stary
mężczyzna. Trzymał w rękę grubą książkę i przyglądał się gościowi. Nad
ich głowami zabłyśło światło, wydobywając z szarości ściany z wiszą-
cymi na nich gęsto obrazami, figurę Matki Boskiej i mężczyznę około
osiemdziesięciu lat, który tak dziwacznie przywitał kapłana.

– Proszę pana, przychodzę z wizytą duszpasterską, z chrystusowym
pozdrowieniem – zaczął ksiądz niepewnie, ale natychmiast usłyszał
ciętą ripostę:

– A jakież jest cel wizyty w naszym domu?

Kapłan zatrzymał się przed stołem. Przyjrzał się teraz dokładnie
starszemu mężczyźnie. Nie pasował on do typowego wizerunku rolnika
z małej wioski. Ubrany był elegancko: brązowa kamizelka, biała koszula
ze sztywno stojącym kołnierzykiem, równiutko przycięty, drobny wąsik
i te oczy zawzięcie wierzące dziurę w głowie.

– To czas kolędy, kiedy kapłan odwiedza wszystkie domy parafii –
próbował tłumaczyć ksiądz.

– Ale po co odwiedza? – szybkie pytanie zbiło znów z tropu zakło-
potanego wikariusza.

Ksiądz obejrzał się na stojącą przy drzwiach kobietę, ale ta opuściła
ze wstydem oczy. Chyba nie znajdzie u niej pomocy.

– Zapytać o to, jak ludzie żyją, jak wygląda ich relacja z Bogiem, w czym...

– To jest moja prywatna sprawa! – przerwał mu gospodarz domu podniesionym głosem.

– Stasiu, nie denerwuj się – doleciał z tyłu cichy głos kobiety.

– Mam prawo mówić w swoim domu, co zechcę! – szpakowaty jegomość trzasnął o siebie połówkami otwartej książki.

– Ależ oczywiście – ksiądz spróbował załagodzić nabrzmiewający konflikt.

– Ja sobie nie życzę, aby wtrącać się w moje prywatne sprawy – gospodarz wstał zza stołu, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa zbliża się do końca.

Kapłan opuścił wzrok i zamilkł na chwilę, by zebrać myśli. Jego spojrzenie padło na figurę Matki Boskiej, która jakby wskazywała na coś błogosławiącą ręką. Podążył wzrokiem za tym gestem. Żółtawe światło żyrandola malowało ściany pokoju w sposób raczej monochromatyczny, ale to, co zobaczył pomiędzy drewnianymi ramami, przykuło jego uwagę na dłużej.

– Mój Boże, jakie piękne obrazy – wyrwało mu się i aż postąpił krok w tamtą stronę.

Odpowiedziała mu cisza. Ksiądz z autentycznym zainteresowaniem zbliżył się do ściany.

– Czy to olej na płótnie? – zapytał, nie odrywając wzroku od przepięknie oddanej sceny bitwy powstańczej na leśnej polanie.

– Olej na płótnie – usłyszał odpowiedź mężczyzny, ale ton jego głosu był wyraźnie cieplejszy.

– Ile w tym dynamiki i piękna – wzrok kapłana przeskakiwał z jednego dzieła na inne – w świetle dnia to dopiero musi być zachwycające.

– Tak ksiądz sądzi? – znów ten łagodniejący głos gospodarza domu.

– Ależ, proszę pana, to arcydzieła, znam się na tym. Któż to namalował, bo znam przecież wszystkich wielkich malarzy?

Znów chwila ciszy. Kapłan spojrział na starego mężczyznę, a ten opuścił wzrok.

– Ja.

– Drogi panie, pod takimi dziełami nie powstydziliby się podpisać sam Kossak – powiedział ksiądz, wyciągając rękę w kierunku jednego

z obrazów. Dłonią przeciągnął w powietrzu wzdłuż napiętej jak struna postaci galopującego konia. Znów spojrzął na mężczyznę, oczy mu jaśniały.

Nabrzmiała gniewem sylwetka gospodarza domu malała z każdą sekundą, aż wreszcie usiadł on za stołem.

– Może ksiądz zechce zasiąść, herbaty skosztować? – zapytał Grzegociński cicho, jakby przygniotło go poczucie winy.

– Z największą przyjemnością – odpowiedział szybko wikary, a kobieta z tyłu za nim ruszyła z miejsca i już po krótkiej chwili słychać było brzęk szklanek w kuchni.

– Pan Stanisław, jak sądzę – ksiądz wyciągnął rękę przez stół.

– Stanisław Grzegociński – mężczyzna odwzajemnił gest mocnym uściskiem.

– Ksiądz Tomasz Kostecki, jestem w parafii od niedawna, ale nie spodziewałem się spotkać w tej małej miejscowości tak genialnego malarza.

– Bo też i nie jestem stąd, przyjechałem wiele lat temu z Warszawy i tak zostałem – zrezygnowanym machnięciem ręki skwitował Grzegociński ostatnie lata swojego życia, jakby chciał spisać je na straty.

– Talent, drogi panie, nie zna miejsca ani czasu, a wielkie rzeczy dzieją się, nawet gdy wydaje się, że wszystko stracone – ksiądz usiadł i postawił teczkę przy nodze krzesła. – Choćby Jezus jest świetnym przykładem. Najwięcej dokonał pod okupacją, z pozoru na przegranej pozycji, przybity do krzyża jak ostatni łotr.

– Trudno zaprzeczyć – odpowiedział Grzegociński, odsuwając książkę na bok.

Błądził przy tym wzrokiem po wyszywanym pięknie białym obrusie. Kapłan zdawał sobie sprawę, że początek ich znajomości nie może być zaliczony do udanych, stąd starał się wymazać złe wspomnienia łagodnym tonem głosu. Za wszelką cenę chciał przekonać gospodarza domu, że nie odczuwa żalu za wypowiedziane przed kilkoma minutami słowa. Właśnie parująca herbata stanęła na stole.

– Dziękuję – kapłan spojrzął na kobietę, która dyskretnie ocierała łzy z kącików oczu. Kiedy wsypywał łyżeczkę cukru do herbaty, przyszło mu do głowy coś, co początkowo uznał za dziwaczne, ale zdecydował się wypowiedzieć te słowa głośno.

– Panie Stanisławie – ksiądz spojrzął malarzowi w oczy i zrobił przerwę, by na dłużej zatrzymać jego wzrok – żeby malować tak wspaniałe obrazy, trzeba być człowiekiem wyjątkowo wrażliwym. A tak wrażliwy człowiek musi mieć naprawdę piękną duszę.

Wzrok Grzegocińskiego znieruchomiał, jakby mężczyzna nie do wierzał temu, co przed chwilą usłyszał. Nie odpowiedział wtedy nic. Ale kiedy kapłan godzinę później wychodził z domu, gospodarz długo ścisnął jego dłoń. Ustalili, że w wolnej chwili spotkają się, by porozmawiać o technikach malarskich i odcieniach farb.

Żona Stanisława, Krystyna, jeszcze przez godzinę modliła się na różańcu przed figurą Maryi w pokoju gościnnym. I tym razem jej mąż nie miał do niej o to pretensji. Patrzył tylko na figurę Matki Boskiej tak, jakby mimo że stoi tu kilkanaście lat, widział ją po raz pierwszy w życiu.

5.

Tylko kilka dni pozostało do środy popielcowej. Ksiądz Tomasz podjął ważne decyzje, więc dzień przed wizytą u Grzegocińskich wcale nie mógł zasnąć. Nazajutrz, choć wstał bardzo zmęczony, zaczął dzień wcześniej niż zwykle od modlitw w intencji nawrócenia pana Stanisława. Wszystko wydawało się mało realne. Pięćdziesiąt lat człowiek nie był u spowiedzi. I nagle on, wikariusz, miałby go do tego nakłonić? Tu trzeba czegoś więcej, niż chęci człowieka. Tu trzeba interwencji nadzwyczajnej. Po porannej mszy młody kapłan poszedł więc do sióstr zakonnych mieszkających przy kościele i poprosił, aby po południu, około godziny siedemnastej zaczęły odmawiać koronkę i nie przestawały aż do wieczora.

Wszyscy święci już wezwani na pomoc, Michał Archanioł łaskawie patrzy z obrazu – pomyślał ksiądz i zrobiło mu się ciepło. Bo czas uciekał jak gnany obławą lis i nie wiadomo kiedy zrobiło się popołudnie.

Przy obiedzie nawet proboszcz zauważył, że wikary jest jakiś marotny, zjadł mało. Ale kiedy usłyszał pytanie:

– Czy ksiądz proboszcz pozwoli do Grzegocińskich? – stary kapłan wszystko wiedział. Szerokim gestem uczynił tylko w skupieniu znak krzyża i odprowadził wikariusza wzrokiem do drzwi.

Jakże trudno było przejść te dwa kilometry z plebani do środka wsi, gdzie stał dom Grzegocińskich! Gdy ksiądz Tomasz stanął przed

zdobionymi, drewnianymi drzwiami, dochodziła siedemnasta. I znów taki piękny zachód nad drogą dodawał otuchy cudownie rozlewającymi się po niebie kolorami. Jeszcze jedno spojrzenie na zegarek i jeszcze jeden głęboki oddech. Ostatni znak krzyża.

– Boże prowadź – szepnęła kapłan i otworzył drzwi. Powitała go rozradowana pani Krystyna, ale posmutniała, gdy zobaczyła podkrążone oczy wikariusza. Nie zapytała jednak, co się stało. Chyba domyśliła się celu kapłańskiej wizyty. Bez słowa otworzyła drzwi do pokoju, gdzie nie zastali jednak gospodarza. Po chwili wyszedł on ze swojej pracowni, w której w czasie kilku poprzednich wizyt z taką pasją opowiadał księdzu o swojej malarskiej drodze.

– Ksiądz Tomasz, jakże miło, a ja nowy obraz... – tu przerwał, przyglądając się uważnie twarzy wikariusza – Co też księdzu? Czy coś się stało?

– Ach, drogi panie Stanisławie – kapłan usiadł ciężko przy stole – stało się, stało.

– No, ale niechże ksiądz mówi, zaradzić trzeba!

– Tak trudno mówić – wzrok księdza błądził po stole bez celu. – Trudno wypowiedzieć.

– Ależ musi ksiądz – nalegał malarz. – Zawsze rozwiązanie można znaleźć, biedzie zaradzić. No, bardzo proszę!

– Bo widzi pan, panie Stanisławie – zaczął ksiądz i rzucił przelotne, błagalne spojrzenie w kierunku figury Matki Boskiej – co by pan zrobił, gdyby się pan dowiedział, że pana serdeczny przyjaciel jest śmiertelnie chory, a pan zna lekarza, który może go wyleczyć?

– Dałbym adres tego lekarza, ba, sam bym przyjaciela tam powiózł – zachnął się Grzegociński, jakby chciał podkreślić, że sprawa jest oczywista.

– A kiedy ten pana przyjaciel nie zechciałby pojechać, odmówiłby leczenia?

– Próbowałbym nakłonić, perswadować.

– A gdyby to wszystko zeszło na niczym?

Chwila przerwy, zastanowienia.

– Byłoby mi przykro.

– Tak właśnie i ja się czuję, drogi panie Stanisławie.

– Ale nie bardzo rozumiem...

– Bo tym przyjacielem jest pan – oznajmił cicho ksiądz. – Tak pana traktuję od pierwszej wizyty w tym domu. A tu Wielkanoc się zbliża, największe chrześcijańskie święta, a pan u spowiedzi nie był. Smutek mnie ogarnął wielki, gorzki czas mnie czeka, bo zamiast radować się ze Zmartwychwstałego, ja płacę nad moim przyjacielem.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Długą chwilę, w której na dwóch biegunach stało niedowierzanie i szczerzy ból pomieszany z troską.

– Ksiądz naprawdę...? – wyszeptał stary człowiek, ale zaplątał się z zdumieniem. W odpowiedzi w oczach kapłana nie znalazł fałszu. Tego wyświechtanego, stołecznego towaru, którego pełno na każdym rogu ulicy wielkiego miasta.

Stanisław ocknął się, jakby szukał czegoś gorączkowo na stole. W białych drzwiach za plecami męża stanęła Krystyna. Przy ustach trzymała zacisniętą pięść, wczepiała się drżącym ciałem w zdobioną futrynę.

– Ale teraz ksiądz ma tyle spraw... Może później... jeszcze ponad miesiąc... – wił się Grzegociński

– Żyjemy dziś, tu i teraz, mój przyjacielu – kapłan akcentował mocno ostatnie słowa. – Kto wie, czy ja do plebanii dziś dotrę, co przyniesie jutrzejszy dzień?

Znów zwarły się ich spojrzenia w niemym dylemacie. Drogą przejechała furmanka, a ciągnący ją koń wystukał kojący rytm na kamieniach. Krystyna stała w drzwiach blada tak, że przez chwilę ksiądz zastanawiał się, czy nie ruszyć jej na ratunek.

– Niech tak będzie – wybrzmiało nagle stwierdzenie, tak fantastyczne w tych okolicznościach, że kapłan z niedowierzaniem podniósł brwi, a kobieta złapała głęboki, głośny oddech.

– Niech ksiądz idzie do kościoła po Pana Jezusa, ja się przygotowuję – te słowa wypowiedział Stanisław spokojnym głosem, wpatrzony gdzieś w róg pokoju. Wikariusz podążył za tym spojrzeniem. Matka Boska uśmiechała się do nich łagodnie.

– Oczywiście – zaczął ksiądz gorączkowo, jakby czas nagle przyspieszył – będę najpóźniej za pół godziny.

Złapał jeszcze Stanisława za rękę i zająrzał mu w odmienione, spokojne teraz oczy.

– Niech ksiądz idzie – dodał cicho malarz – będę gotowy.

Dzwony kościelne zaczęły bić przed mszą wieczorną. Krystyna, łkając, wycofała się do kuchni. Wikariusz poczuł, że kręci mu się w głowie, ale przełamała słabość i ruszył do wyjścia.

– Trzydzieści minut – rzucił jeszcze przez ramię i zniknął w drzwiach.

6.

Tego dnia ksiądz Tomasz był bardzo zajęty. Obowiązki w niedawno objętej placówce były trudne do ogarnięcia. Zwłaszcza że po dwóch miesiącach posługi w nowej parafii jeszcze nie przyzwyczyił się do miejskiego zgiełku. Cieszyło go jednak, że spodziewane problemy zdrowotne z drogami oddechowymi nie nadeszły. Mógł więc swobodnie głosić Słowo Boże, a w tym dziele sprawny głos to sprawa kluczowa. Właśnie wychodził z kościoła po wieczornej mszy, gdy dostrzegł przy bramie znajomą postać. To była pani Krystyna Grzegocińska, kobieta, którą tak dobrze zapamiętał z poprzedniej parafii. Pomimo zmęczenia ucieszył się bardzo i ruszył energicznym krokiem, by się z nią przywitać. Fakt, że przyjechała tu z tak daleka zaniepokoił go odrobinę. Ale kiedy stanął przed nią i usłyszał zbolące:

– Pochwalony Jezus Chrystus – już wiedział.

Zgasłe, zaczerwienione od łez oczy kobiety były przysłonięte zmęczonymi powiekami. Opakowany szarym papierem płaski przedmiot metr na pół metra opierał się o ziemię przy jej prawym boku.

– Kiedy? – zapytał, podając jej rękę.

– Tydzień temu... Próbowałam dzwonić, powiadomić księdza o pogrzebie, ale ani od sołtysa, ani z poczty... – opowiadała zbolalym głosem. – Przed śmiercią zawołał mnie i powiedział, że bym ten obraz koniecznie księdzu zawiozła. Mówił, że niedokończony jest.

Na chwilę zamilkła, przesuwając palcami po okrytej papierem ramie. Jej oczy znieruchomiały i zwróciły się ku wspomnieniom czasów, gdy w słoneczne, niedzielne popołudnia przyglądała się, jak jej Stasiak maluje w pracowni.

– Ja muszę jechać, proszę księdza, pociąg... – spojrzała znów przez łzy.

– Ależ, pani Krystyno, choć na herbatę zapraszam – kapłan zaczął zakłopotany.

– Proszę się nie gniewać, to wszystko tak nagle, płacz ciągle wzbiera, proszę przyjąć – wysunęła obraz przed siebie.

– Oczywiście, to dla mnie zaszczyt – próbował odnaleźć się ksiądz, choć i jemu głos uwiązł w gardle.

Spojrzał szybko w górę. Dzień kończył się pięknie. Słońce już zaszło, ale jego blask ciągle ożywiał niebo nad kościołem. Szybko zerwał papier i trafił na tył obrazu, gdzie odczytał głośno napis „Trójca Święta”. Gdy odwrócił obraz do siebie, aż otworzył usta ze zdumienia. Trzy kopce siana obsypane szarzącym śniegiem, oświetlone bocznym światłem wstającego słońca. Wszystkie trzy podobne, a jakby odmienne. Każdy z nich tak samo ważny dla tego po mistrzowsku oddanego fragmentu pejzażu. Poczul, że po policzku płynie mu łza. Otarł ją szybko ręką i sięgnął po chusteczkę.

– Nasz ksiądz proboszcz na pogrzebie powiedział, że nigdy czegoś podobnego nie widział, żeby ktoś po pięćdziesięciu latach nawrócił się – opowiadała kobieta jednostajnym głosem, jakby mówiła do siebie. – Stał się cud, tak powiedział.

Ksiądz Tomasz wydmuchał nos w chusteczkę i spojrzał kobiecie w oczy.

– To był cud najprawdziwszy, pani Krystyno, i my byliśmy jego świadkami – rzekł, chwytając ją za rękę. – A choć może obraz niedokończony, to żywot jego dokończony został, i to dokończony w każdym szczególe.

Kobieta znów zaczęła płakać, pocałowała rękę księdza, choć wzbierał się energicznie, po czym pokuśtykała w stronę dworca. Ksiądz Tomasz jeszcze przez chwilę odprowadzał wzrokiem jej niedużą, okrągłą postać, aż zniknęła za kościelnym płotem. Potem zmiął papier, ujął obraz w obie dłonie i ruszył w stronę plebanii.

Bezpośredni świadek tych prawdziwych wydarzeń, ksiądz Tomasz Kostecki do dziś, po wielu latach od śmierci nawróconego artysty, modli się za jego duszę. W sypialni księdza wisi obraz przedstawiający trzy przyprószone śniegiem kopce siana. Pełniąc obowiązki proboszcza parafii Dębowa Kłoda, ksiądz często przytacza opowieść o cudownym nawróceniu zatwardziałego grzesznika, jako przykład na to, że gorliwą modlitwą można wybłagać przed Bogiem najprawdziwszy cud.

Usłyszeć ciszę



Biegący w powstańczej panterce Zygmunt próbował nadążyć za przesuającym się między gruzami plutonem, gdy nagle dostał postrzał w głowę. Kula okręciła potężnym ciałem wysokiego mężczyzny tak, że upadł na plecy. Niestety, nie zabrał swojego hełmu i teraz, gdy leżał na ziemi zamroczony, z trudem docierało do niego, co się właściwie stało. Pozostali, którzy zdążyli wskoczyć za ścianę budynku przy Polnej, zatrzymali się i wyjrzeni zza rogu. Niemiecki snajper leżący na dachu straży pożarnej spokojnie przeładował karabin. Czekał.

– Mocno oberwaliśmy – zabrzmiał czyjś pełen niepokoju głos. Porucznik spojrzął do tyłu, na sanitariuszki, które już były w pogotowiu. Dowódca zastanawiał się. To duże ryzyko, brak osłony, tylko te słoneczniki, a to niewielka pociecha, bo strzelec wyborowy patrzy zwykle z góry. Dziewczyny, „Danuta”¹ i „Jagienka”², podeszły do niego.

– Panie poruczniku, proszę pozwolić – usłyszała ich pełne zniecierpliwienia głosy.

Boże mój – pomyślał – co mogę zrobić, przecież tam ktoś jęczy, aż skóra cierpnie.

– Gdzie Władek? – zapytał, rozglądając się za porucznikiem Kochem.

– Dostał, leży niedaleko Zygmunta – odpowiedział szybko „Wrzos”, kapral Wrześniowski.

– Krystyna – porucznik złapał dziewczynę za ramiona i spojrzął w jej zielone oczy – uważaj, nisko przy ziemi. Jak będziesz potrzebować pomocy, krzycz.

¹ „Danuta” – pseudonim powstańczy Krystyny Krahelskiej.

² „Jagienka” – pseudonim powstańczy Janiny Krassowskiej.

Dziewczyna ruszyła bez słowa przykulona, zza jej pleców ogień osłonowy plunął agresywnie w kierunku niemieckich umocnień. Nie mogła biec zbyt szybko. Niedawna choroba ciągle dawała się jej we znaki. Po kilkunastu krokach wybiegła zza sterty gruzów i przemykając pomiędzy słonecznikami, dotarła do pierwszego z rannych. Ostrzał od strony Nowego Kuriera Warszawskiego zelżał, zrobiło się dziwnie cicho. Sanitariuszka wiedziała, co to znaczy. Teraz snajper szuka celu.

– Spokojnie, Zygmucie – szeptała do rannego mężczyzny – zaraz cię opatrzę.

– Krysiu – Zygmunt trzymał się za głowę – już mi lepiej, chyba mnie zamroczyło.

Sanitariuszka, klęcząc z głową schowaną w ramionach, szybko rozdarła opatrunek i zawiązała na pomazanej krwią głowie rannego.

Rzeczywiście, tylko powierzchowna rana – pomyślała i rozejrzała się nerwowo.

– Spróbuj przeczłogać się do tych gruzów – wskazała palcem stertę cegieł na kierunku, gdzie ocalenie znalazł jej przerzedzony pluton – ja idę po Władka.

Podniosła niepewnie głowę. Jakiś ciemny kształt poruszał się wśród słonecznikowych łądyg dwadzieścia metrów dalej. Spojrzała do tyłu, w kierunku budynku straży pożarnej. Poderwała się i z wielkim trudem dopadła do kolejnego rannego. „Mistrz” – porucznik Koch leżał na plecach i oddychał szybko. Chyba stracił świadomość, bo nie reagował na próby nawiązania kontaktu. Znowu nerwowo rozrywała opatrunki, próbując wyrównać przyspieszony oddech. W głowie jej się kręciło. Przypomniała sobie, że namawiano ją do tego, aby się oszczędzała. Dobrze mówić, oszczędzać się w takich okolicznościach!

Gdy kończyła opatrywanie porucznika, usłyszała jęk wśród bruzd ziemi kilka metrów dalej. Jęk wzmagął się stopniowo i zanikał. To pewnie tego rannego słyszeli zza muru budynku. Nie poznała po głosie, kto to mógł być, ale uznała to za mało istotne. Tam człowiek potrzebuje pomocy. Zarzuciła torbę sanitarną na plecy i z ogromnym trudem dźwignęła się na nogi. Nie zdążyła przejść daleko, gdy seria z karabiny maszynowego rozpruła powietrze i rzuciła jej ciałem do przodu. Upadła beładnie na twarz, łamiąc kilka słonecznikowych łądyg.

Zza budynku przy Polnej wypadli „Jagienka” z „Wrzosem”¹ i rzucili się na ziemię, po czym zaczęli czołgać się pod gęstym niemieckim ogniem. Chłopcy z plutonu grzali z karabinów, jakby chcieli się odgryźć z faszystom, a porucznik przez lornetkę próbował wypatrzeć snajpera. Wzbudzone kulami odłamki kamieni raniły boleśnie ręce ratowników, serie z niemieckich karabinów maszynowych raz po raz przesywały powietrze, ale żadna z kul nie dosięgła celu. Z ogromnym trudem dotarli do Krystyny. Ostrożnie odwrócili przyjaciółkę na plecy, by ułatwić jej oddychanie. „Wrzos” automatycznie zajął pozycję do ostrzału przedpola i zaczął pruć oszczędnymi, krótkimi seriami, a „Jagienka” rozrywała opatrunki i przykładła do krwawiącej mocno piersi przyjaciółki.

– Janeczka... W imię Boga... – wyszeptła Krystyna – uciekajcie.

Nie przyjęli tego poważnie. „Wrzos” przerwał ostrzał i podczołgał się do dziewczyn.

Podniósł się na łokciu dosłownie na chwilę, by pomóc rannej, i wtedy kula wystrzelona przez snajpera trafiła go prosto w głowę. Przebitą kulą hełm z biało-czerwoną opaską potoczył się wśród słoneczników, mężczyzna z rozłupaną czaszką runął obok nich. „Jagienka” przyłgnęła przerażona do ziemi.

– Odejdźcie, odsuńcie się... Zostawcie mnie – przez kanonadę przebił się głos Krystyny, teraz jakby pełen żalu do nich, że przyszli po nią, że podjęli tak wielkie ryzyko.

Jej przyjaciółka czuła, jak łomocze jej serce pod mundurem. Przyłapała się na paradoksalnej myśli, że snajper też może słyszy jej strach. Znów cisza, złowieszcza cisza i te niepokojąco piękne słoneczniki, które kołysały się teraz nad ich dramatem. Popatrzyła w kierunku swojego plutonu. Dowódca nerwowymi gestami nakazywał jej stanowczy odwrót. Kule znów zaczęły gwizdać obok, a każda z nich niosła niechybną śmierć. Snajper na pewno celował teraz w ich stronę i tylko czekał na okazję, by nacisnąć spust. Zrobi to z uśmiechem satysfakcji. Strzeli do każdego, kto pojawi się w polu celownika.

Do uszu przerażonej dziewczyny dotarło ciche rżęzenie. Pociski przebiły płuco jej przyjaciółki w kilku miejscach. Miała coraz większe trudności z oddychaniem. Z głową przy samej ziemi, dosłownie łykając

¹ „Wrzos” – kapral Zbigniew Wrześniowski.

pył, „Jagienka” podsunęła się do rannej. Wyszarpała zawieszoną u paska manierkę z wodą i odkręciła, potem podała drżącą ręką przyjaciółce do ust. Złapała ranną za rękę.

– Wytrzymamy! – próbowała przekrzyczeć serie z karabinów maszynowych, które od strony placu Unii Lubelskiej kładły się śmiercionośnym żniwem wśród padających dookoła słoneczników. – Słyszysz, Krysia, wytrzymamy!

Pierwszego sierpnia wieczorem czterech sanitariuszy przyniosło Krystynę na Polną. Powiedzieli, że gdy ostrzał ucichł, zaczęli przeszukiwać okolicę na linii natarcia 1108 plutonu w poszukiwaniu rannych. Wtedy natknęli się na dziewczynę. Punkt opatrunkowy był mały, tylko trzy łóżka, z tego jedno ciągle zajęte w prowizorycznej sali operacyjnej. Miejscowy chirurg uwijał się jak mógl, postrzał w kręgosłup, ciężka rana miednicy. Gdy wnosili Krystynę, kończył kolejną operację, a kilka osób już czekało na opatrzenie.

Kierująca ruchem chorych pielęgniarka podeszła do nich i zajrzała pod opatrunek. Dwie dziury po kulach po prawej stronie klatki piersiowej pod obojczykiem, z dziur sączyła się ciemna krew. Potem jeszcze delikatnie podniosła dziewczynę, by obejrzeć jej plecy. Popatrzyła na czerwony krzyż na ramieniu rannej i zrobiło jej się gorąco.

– Ona następna do operacji, dawajcie ją bliżej – zarządziła stanowczym tonem do sanitariuszy.

– Kochana – odezwała się słabym głosem Krystyna – macie tyłu rannych... Ja mogę poczekać.

Pielęgniarka spojrzała w intensywnie zielone oczy dziewczyny. Spokój, jaki z nich emanował, zatrzymał ją na chwilę w miejscu.

– Nie wiem, ile tam leżała – jej zadumę przerwał jeden z powstańców – ale straciła dużo krwi. Miała szczęście, że się na nią natknęliśmy.

Przełożyli ją ostrożnie na łóżko. Na noszach została brunatna plama krwi przemieszanej z ziemią. Pielęgniarka spojrzała na mężczyzn, a ci odwrócili się taktownie, gdy wraz z koleżanką przebierały ranną w wygotowaną szpitalną bieliznę.

– Dziękuję wam... moje kochane – szeptała przy tym Krystyna słabnącym głosem. – Nic nie boli... Bardzo dziękuję.

Jej głos wyraźnie słabł, a zielone oczy mętniały. Puls zanikał z minuty na minutę. Szczęśliwie w pomieszczeniu obok zakończyła się właśnie operacja poszarpanego biodra. Doktor wyszedł ze skrzywioną ze zmęczenia twarzą.

– Panie doktorze, to sanitariuszka – pielęgniarka spojrzała na niego znacząco. – Trzy kule z tyłu w prawe płuco, dwie wyszły z przodu.

Doktor wyobraził sobie skomplikowany, wielogodzinny zabieg i machnął tylko ręką.

– Dawajcie ją – oznajmił zbolalym głosem i zawrócił. – Marysia, zrób herbatę, dezynfekcja się kończy.

Ranna dziewczyna ostatkiem sił złapała pielęgniarkę za rękaw fartucha.

– Powiedz chłopcom... że wrócę – wyszeptala ledwie słyszalnie.

– Pewnie, że wrócisz – kobieta poklepała ją po zimnej dłoni. – Dojdiesz do siebie, serce nienaruszone.

– Wrócę – znów słaby głos dziewczyny. – Boże... jak tu cicho.

Żołnierze spojrzeli na siebie. Jeden z nich odwrócił wzrok, by ukryć łzy. Tak wielu dziś zginęło, tak wielu musieli zostawić wśród gruzów...

– Boże – usłyszeli znów, jak dziewczyna szepcze – dziękuję Ci... żeś mi pozwolił... usłyszeć ciszę.

Krystyna Krahełska, poetka, harcerka, autorka znanej pieśni żołnierskiej „Hej, chłopcy, bagnet na broń!” w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego miała trzydzieści lat. W wyniku ran postrzałowych doznanych w czasie bohaterskiej próby dotarcia do rannych kolegów z 1108 plutonu dywizjonu „Jeleń” zmarła w nocy 1 na 2 sierpnia. Jej twarz uwieczniona na wieki przez rzeźbiarkę patrzy do dziś z czterometrowego pomnika „Syreny Warszawskiej” nad Wisłą. Pamięć Jej imienia jest skrzętnie pielęgnowana w Gminnej Bibliotece Publicznej w Sosnowicy.

Harcerskie przyrzeczenie, że będzie służyć Bogu i Ojczyźnie, przypieczętowała własną krwią. Przyszło Jej umrzeć śmiercią żołnierską, jak pisała w swoim wierszu. Bóg przyjął Ją z pewnością do grona swoich wybranych. Swoim życiem udowodniła, co to jest ofiarna i służebna miłość, bez względu na cenę.

Matka



Podzégacze sądowi pracowali nad sędziną już drugi dzień. Najpierw dwa donosy sporządzone przemyślnie przez sąsiadkę, pokuszoną na chwałę ocalenia niewiniątek. Potem świadkowie, którzy rzekomo widzieli zaniedbane i brudne dzieci.

– W domu dziecka będzie im lepiej – podzegały starym zwyczajem – tam ciepło, dostaną jeść, będzie im lepiej.

– Sama widzisz, że te dzieci są zaniedbywane – sugerowały inne czarty szkolone w prawie. – Masz władzę i obowiązek odebrać je tej podłej kobiecie.

Promieniste istoty niechętnie odwiedzały sądy. Wzdrygały się, gdy przekraczały próg budynku naznaczonego tradycją wielowiekowej niesprawiedliwości. Kreśliły znak krzyża, gdy korytarzem zbliżał się adwokat, otoczony sforą czartów podpowiadaczy. Tego dnia Promieniści z wyraźnym smutkiem wchodzili do sali sądowej, gdzie toczyła się wstępna sprawa o pozbawienie praw rodzicielskich za rzekome zaniedbywanie dzieci. Nie przedstawiono żadnych dowodów oprócz donosów, nie przybyli też żadni świadkowie. Sędzina została sama z czartami wątpliwości, siedzącymi rzędem na pokrytym zielonym suknem sędziowskim stole. Naprzeciw stała wzburzona młoda kobieta, wbijając palce w poręcz balustrady odgradzającej sąd od przesłuchiowanych świadków.

– Czy przyznaje pani, że po odejściu męża nie radzi sobie pani z obowiązkami wychowywania czwórki dzieci?

Cios poniżej pasa z ust sędziny celnie ugodził sponiewieraną życiem kobietę. W jej oczach pojawiły się łzy. Zawahała się i już miała wybuchnąć płaczem, niejako potwierdzając wysunięty przez sąd zarzut, gdy

jeden z Promienistych podniósł się i ruszył w jej kierunku. Podżegacze spłoszone wycofały się za plecy sędziny, nieufnie przyglądając się promienistej istocie. A ten pochylił się nad bezradną kobietą i szepnął jej coś do ucha. Jej oczy, jeszcze przed chwilą błędzące bezradnie, teraz zogniskowały swą uwagę na osobie sędziny.

– A pani ma dzieci? – rzuciła kobieta zdecydowanym głosem.

– Mam, ale to nie ma nic do rzeczy – broniła się sędzina, choć nie powinna się bronić. Była przecież sędziną.

– To niech pani swoje dzieci odda do domu dziecka, bo moje nie kocięta i nie są do oddania! – wycodziła przesłuchiwana dziewczyna i odwróciła się na pięcie.

Promienisty ustąpił jej drogi, spoglądając na nią z łagodnością. Podżegacze sądowi skrzywili z niesmakiem karykatury twarzy. A młoda matka przemaszerowała przez salę sądową, szarpnęła wielkie drzwi, jakby nic nie ważyły i trzasnęła nimi tak mocno, że szyby zadźwięczały w oknach.

To teraz albo mi dadzą spokój, albo mi odbiorą dzieciaki – pomyślała wzburzona i zaczęła szukać prowadzących w dół schodów.

Zaraz też opadły ją czarty wątpliwości, czując swoją szansę na wprowadzenie zamętu. Szeptaly jej do ucha, że popełniła błąd, wychodząc, że z sądem nikt nie wygra, że skoro jest głupia, to teraz będzie miała za swoje. Łzy znów napłynęły jej do oczu, a wraz z nimi powróciła samotność. I choć kobieta była w zaawansowanej ciąży, a jej piąte dziecko miało się narodzić za sześć tygodni, smuga cienia przesłoniła jej świat, odgradzając ją od maleństwa rosnącego pod sercem.

Wyszła na ulicę, gdzie czekał już na nią Czarny Władca Destrukcji. Czarty wątpliwości wycofały się do budynku sądu, bo nawet one bały się, gdy pojawiał się Czarny Władca. A ten objął zrozpaczoną dziewczynę ramieniem i poprowadził na skraj ruchliwej drogi. Samochody nadjeżdżały z wielką szybkością z obu stron. Czarny Władca zajął dziewczynie w oczy i zachęcił ją, wkraczając na jezdnię. Wyciągnęła dłoń i zrobiła krok do przodu, gdy silne ramię pociągnęło ją z powrotem.

– Co też pani robi?! – Krzyknął mężczyzna, odciągając kobietę od ruchliwej drogi – życie się pani znudziło?!

Teraz zorientował się, że jest w ciąży i z jeszcze większą dezaprobatą pokręcił głową.

– I to ma być matka!?

Dziewczynna usiadła na ławce przystanku. Łkała bezsilnie i z nerwów zagrzyzała dłonie. Myślała o czwórce swoich dzieci, które czekały na nią w domu na wsi. Powoli opanowała się, nerwowym ruchem wygładziła sukienkę i szybkim krokiem poszła w kierunku dworca autobusowego.

– Trzeba wracać do domu – pomyślała, stojąc w długiej kolejce po bilety.

Rodzeństwo radziło sobie dobrze w czasie nieobecności mamy. Dziewięcioletni Staszek zajmował się dziś piecem. Lubił rozpałać ogień. Był w tym dobry. Trójka starszych dzieci wiedziała, że sobie poradzi. Obok chłopca przycupnęły czarty wypadków, podpowiadając chłopcu, by nalał rozpuszczalnika do pieca, wtedy na pewno się rozpali. Ale ogień wolniutko lizał drewno i bez entuzjazmu zapalał kolejno zgromadzone w piecu polana. Nuda, ciepło i żadnych poparzeń. Czarły wypadków były wyraźnie zawiedzione.

Na dworze było już zupełnie ciemno. Chłopiec spojrział na obraz wiszący nad łóżkiem. Anioł przeprowadza dwójkę dzieci przez dziurawą kładkę, wokół szaleje burza.

Mama mówiła, że anioły są dobre – pomyślał i uśmiechnął się do Promienistego z obrazu, a ten z wielką przyjemnością odwzajemnił uśmiech.

– Kto idzie po mamę? – padło pytanie przez drzwi. Staszek spojrział na zegar, dochodziła dziewiętnasta. Autobus przyjedzie za dwadzieścia minut. Bernatka i Kasia już stały ubrane w drzwiach.

– Piotrek, przypilnuj pieca, my idziemy po mamę – rzucił do starszego brata i szybko narzucił kurtkę.

Wyruszyli w zupełnych ciemnościach jesiennego wieczoru. Ich drogę oświetlały tylko trzy promieniste istoty idące obok. Ale oni dziś jeszcze nie widzieli tego światła. Drogę znali na pamięć. Lubiłi chodzić „po mamę” i ten zwrot był już od dawna w domowym słowniku synonimem radości i pachnącego chleba. Wraz z mamą do domu wchodziła pewność, że będzie kolacja, ciepło i świeży chleb,

a czasem nawet dzielona sprawiedliwie tabliczka czekolady. Wracała wiara, że będzie jakieś jutro.

Przekraczali już most na rzece. Czarty rzeczne trzymały się dziś z daleka, widząc Promienistych płynących wraz z dziećmi. Teraz już tylko kilkaset metrów asfaltówki i jest przystanek. Usiedli na drewnianej ławeczce i machali nogami, żeby się rozgrzać. Wieczory były już chłodne. Rozgwieżdżone niebo nad głowami skrzyło się, jakby było pełne mrugających wesoło diamentów. Mały Staszek spojrział w kierunku zakrętu na górcę, skąd miał nadszednąć autobus z mamą. Wiedział dokładnie, że za chwilę powinien się wyłonić, jak arka. Tam, w środku była ich mama. Pozostali ludzie byli nieważni, nawet ich nie zauważał. Oczekiwali tylko tej drobnej postaci, zmęczonej, lecz uśmiechniętej.

Wreszcie światło poprzedziło pojawienie się autobusu. Jechał wolno, jak zwykle, by już po chwili zatrzymać się na przystanku. Dzieci z radością wpatrywały się w otwarte drzwi, a kiedy pojawiła się ich mama, rzuciły się, by ją przywitać i pomóc w niesieniu ciężkich toreb. Nie zauważyli odmiany na jej twarzy. Nie zauważyli też, że obok kompletnie pijanego kierowcy stoją dwaj Promieniści, trzymając mocno kierownicę i wycierając zaparowaną przednią szybę.

Dzień kończył się tak, jak w dziecięcych umysłach powinien się kończyć. Znowu byli w komplecie, oni i mama. Szkoda tylko, że tata nie mógł zjeść z nimi kolacji. Nałogowe, ciągle pijane czarty uzależnienia, balały z nim od kilku dni w melinie u Kazka Podolaka. Właśnie rozlewały butelkę ruskiego spirytusu, przemyconego przez granicę w chłodnicy Łady. Czarny Władca Destrukcji także tam był.

I tym razem nie pozwoli, by mężczyzna wyslizgnął się z jego zimnego uścisku.

Co powiedzieć?

Co powiedzieć młodej kobiecie, której mąż choruje na raka, a ona ma wkrótce zostać sama z gromadką dzieci? Na leczenie wydali ostatnie oszczędności. Gdy lekarz, bezsilny wobec postępu choroby, wszedł do jego sali z całą tą dokumentacją umierania, chory oznajmił, że poprzedniego dnia widział Jezusa, siedzącego obok na łóżku.

Co powiedzieć?

Bezpłodna kobieta tak wiele lat z tęsknotą wyczekiwała, by adoptowane przez nią dziecko okazało jej miłość. W zamian za troskę została przez to dziecko okradziona i sponiewierana. Nie porzuciła jednak matczynej miłości ani modlitwy za przybranego syna.

Co powiedzieć rodzicom czekającym przed reanimacyjną salą, na której trwa dramat ratowania ich piętnastoletniej córki. Dziewczynka tego dnia była jeszcze w szkole. Po południu poczuła się źle, wieczorem

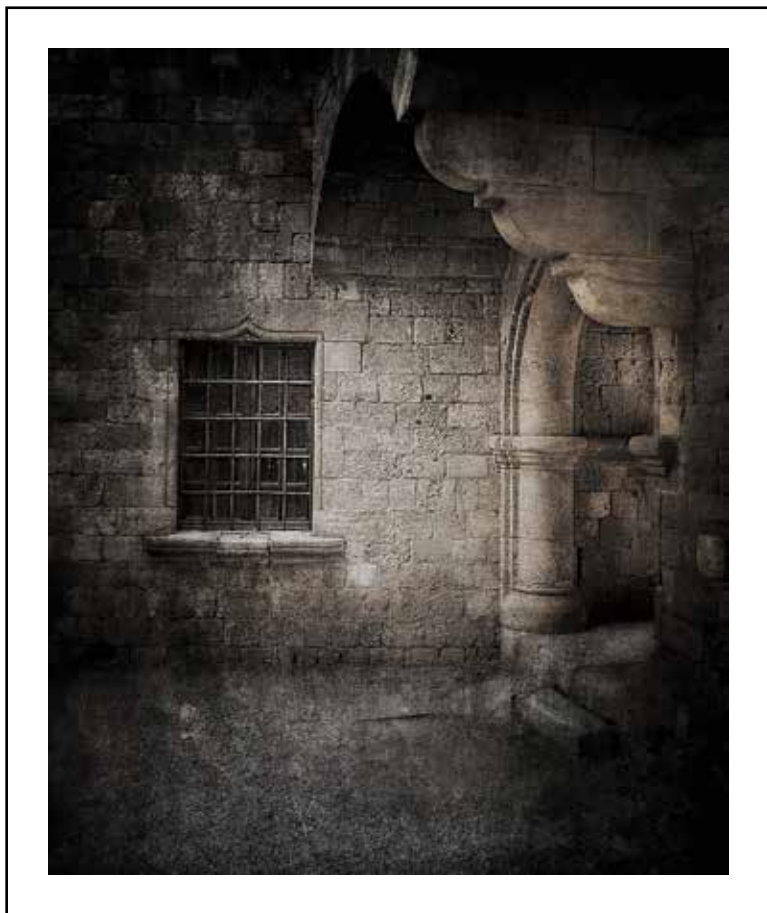
rodzice przywieźli ją do szpitala. Lekarz pojawił się przy niej szybko, osłuchał galopujące serce, obejrzał plamy septyczne na skórze. Krótco potem zatrzymało się jej serce. Rozpoczął się bój ze śmiercią, dziewczynka była dwukrotnie reanimowana. Ostatnia próba okazała się nieskuteczna. Nad ranem lekarz wyszedł z sali i zderzył się ze spojrzeniem porażonych rozpaczą rodziców.

Co miał im powiedzieć?

Zmęczenie po całonocnej, bezowocnej walce o młode życie spadło na niego i przygniotło do ziemi. W tej jednej chwili, gdy stał przed nimi uświadomił sobie, że nie wie, co im powiedzieć. A przecież musiał odebrać im tę ostatnią nadzieję, zaraz potem, jak stracił ją sam. Pozwolił, aby mężczyzna wprowadził swoją mdlejącą żonę do wnętrza sali, gdzie pielęgniarki właśnie odłączały córkę od aparatury. Potem ruszył przed siebie długim korytarzem i otworzył drzwi małego, pustego pokoju na jego końcu.

Rzucił rękawiczki w kąt, usiadł, rozpiął fartuch i zaczął płakać.

Fordon świadomości



Miasto. Żyło świętami, szumiało masą ludzką, przelewającą się codziennie z miejsca na miejsce. Tylko nasze bytowanie było ciągle to samo.

Fordon¹. Wyciskał w naszej świadomości piętno więziennego życia. Izolacji, choć wśród swoich. Osamotnienia, choć w walce o słuszną sprawę. Wkrótce stuknie pierwszy rok oglądania świata przez szczeliny krat. Żadnych pór roku, żadnej pewności jutra, przedświątecznego podnieconego zabiegania.

„Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo” – mawiał Marszałek.

Byłam silna. Dziś – nie wiem. Kobiety na wolności rodzą dzieci. Wałęsa dogaduje się z komunistami. Wszystko, co było dla nas święte, teraz ktoś rozmienia na drobne, sprzedaje za stanowiska.

Tereska wczoraj powiedziała mi: „Wytrzymamy”. Pewnie. Człowiek jest mocny, wytrzyma wiele. Ale czy ta zakratowana ciemność nie nasączy mnie za mocno? Czy nie przesiąknę tym smrodem bezsilności? Ktoś powiedział mi niedawno „Ci z Gdyni w siedemdziesiątym cieszyliby się, że mogą siedzieć w więzieniu i żyć”. Wtedy nie dali im szans. Zabili tylu ludzi, do dziś nie wiadomo ilu. Część z nich przecież nie figurowała w ogóle w oficjalnych statystykach. Szybki pogrzeb, bez księdza, w bezimiennym grobie, nawet ciszy zakneblowali usta.

Ja też czuję się jak pogrzebana w murach Fordonu. Ich ofiara, moje cierpienia i płacz w bezsenne noce, gdy poduszka nad ranem wygląda jak chustka wdowy. Czy to dla Polski jeszcze, czy już tylko, żeby pokazać

¹ Więzienie dla kobiet w Bydgoszczy. W czasie okupacji niemieckiej i za komuny wyroki odsiadywały tu członkinie AK, WiN, a później „Solidarności”, skazywane w procesach politycznych nawet na 10 lat.

bandytom, że kobieta może mieć nie mniej honoru niż wrześnieowy żołnierz.

Basia, taka drobna i delikatna. Gdy mówi, układa słodko usta, że chciałoby się ją po matczynemu przytulić. Wczoraj wyszła na wolność. Płakała, gdy śpiewaliśmy „Mury”. Dzień wcześniej zwierzała mi się, że sama czuje, jakby to była zdrada. Że ją wypuszczają, a reszta pozostaje za murami. Przedziwna więź skleiła nas razem. Uściskałam ją, powstrzymując łzy.

– Teraz czas świadczyć po drugiej stronie murów – pocieszałam ją. – Mów o nas innym, że trwamy tu za wolną Polskę.

Taka delikatna i odważna jednocześnie. Mój Boże. Jakich wspaniałych ludzi pozwoiliś mi tu poznać. Prawdziwych, z krwi i kości, nie karykatury powleczone bladą skórą. Dziękuję Ci za to. Mimo wszystko.

Mury Fordonu otoczyły mnie swoim nieprzejednanym chłodem. Nie czuję się tu dobrze. Ale jak człowiek może czuć się dobrze w miejscu, w którym od dwustu lat maltretuje się osadzonych. Winni, niewinni? Jaka epoka, taka wina. Najpierw za działania za Polską, potem za działania przeciwko Polsce. A te dziewczyny, co je niedawno przywieźli? Dostały długie wyroki za to, że napisały kilka ulotek. Dobrze przetrząsnęłam ich akta. Żadnych kradzieży, przekrętów, pobić. Zakichane ulotki, warte dziesięć lat pułki!

Dziś szczególnie tu zimno. Niedługo Boże Narodzenie, a ja nie wiem, co dać dzieciom. Nawet jeśli kupię prezenty w Peweksie, to co im powiem po latach, gdy zapytają, gdzie pracowałam?

Latami trzymałam młode kobiety za ulotki! A kryminalne za zabójstwo dostawały w tym czasie osiem.

Mówię: Fordon – i już mi źle. Czuję, jakbym tu siedziała razem z nimi. Tylko, że one są niewinne i kiedyś wyjdą, a ja...

Ostatni okres życia Zbyszka był straszny. Dusił się, cierpiał, a mimo to palił dalej jednego za drugim. Wtedy „bo nie szkodzi”, teraz „bo już za późno na rzucanie”. Ania odwiedziła go w szpitalu na kilka tygodni przed jego śmiercią. Paszport cały czas nosiła przy sobie jak wielki skarb.

Bała się kradzieży, ostatecznie SB-cja już raz okradła jej mieszkanie. Kiedy weszła do sali, przeraziła się. Zbychu leżał na łóżku wychudzony, niepodobny do człowieka, którego obraz zapisał jej się w pamięci.

– Ania – odezwał się i otworzył szerzej zapadnięte oczy. – Puścili cię...

Dziewczyna rozejrzała się, ale szybko doszła do wniosku, że zagrożenie ze strony zasuszonych staruszków, sąsiadów Zbyszka jest znikome.

– Puścili – uśmiechnęła się bez przekonania. Na chwilę przypomniała sobie przyjaciółki, które pozostały w więzieniu i uśmiech znikł z jej ust.

W drzwiach pojawiła się głowa mężczyzny, dziwnie znajoma twarz. Czarne, krótkie włosy, mały wąsik. Człowiek zajrzał do środka i wycofał się.

– Co u ciebie, kochana? – Zbyszek próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego grymas odsłaniający poczerwiałe zęby.

– Ja wyjeżdżam, Zbychu – Ania usiadła na łóżku, ale wstała, gdy dostrzegła tłuste plamy na prześcieradle.

– Nie wymieniają – tłumaczył chory – bo jestem z Solidarności. Dobrze, że choć jeść dają – tu znów próbował się zaśmiać, zakrztusił się jednak mocno.

– Ale gdzie ty się wybierasz? – zapytał, gdy już się wykaształ.

– Daleko, Zbychu – dziewczyna znów się rozejrzała i zbliżyła twarz do chorego. – Bardzo daleko.

– Co ty, Aniu? – rysy twarzy mężczyzny wyostrzyły się. – Zostań, przetrzymamy.

– Ja już nie mogę – dziewczyna opuściła wzrok. – Tylko czekać, jak znów mnie wsadzą.

– Rozumiem – mężczyzna walczył z bolesnym skurczem brzucha. – Nie masz może fajek?

Dziewczyna wyjęła z torebki dwie paczki „Popularnych” i parę podziemnych pisemek.

– Jesteś aniołem – ucieszył się Zbyszek i schował wszystko pod materac.

W tym momencie do sali wszedł lekarz z człowiekiem, który wcześniej zaglądał przez drzwi. Brunet ubrany był w sportową marynarkę i dzinsy. Ania zdrętwiała, gdy usłyszała jego głos.

– Ale czy jest jeszcze nadzieja, doktorze?

Dziewczyna teraz już wiedziała na pewno, że jest to oficer SB, który przesłuchiwał ją w Ostródzie. Zbyszek chyba się czegoś domyślił, bo zmienił temat.

– A jak dzieci, Krysiu, twoja mama? Czy już po wykopkach? – starał się, żeby zabrzmiało to naturalnie.

– Już – dziewczyna czuła, że zaschło jej w gardle. – U nas wszystko dobrze.

SB-ek obejrzał się w ich stronę, ale chyba nie poznał Ani. Strój więzienny zmienia człowieka, ale zmiana SB-ckiego munduru na cywilne ubranie nigdy nie odmieni bestii.

– Wszystko w rękach... – lekarz zawahał się, jakby ta sportowa swoboda bruneta i jemu dała do myślenia. – Gdyby pan załatwił miejsce w szpitalu MSW w Warszawie, to może tam by coś pomogli?

– Pomyślimy, pomyślimy – deklarował brunet komunistyczną nowomową i skierował się do wyjścia. Ania przerażona spojrzała w kierunku ukrytych solidarnościowych wydawnictw. Ale Zbyszek przywołał ją ruchem ręki, a kiedy pochyliła się, wyszeptał:

– Teraz to oni mi mogą skoczyć – i uśmiechnął się szeroko na te słowa.

SB-ek wyszedł sprężystym krokiem. Lekarz pokręcił głową, odprowadzając go spojrzeniem. Ania pocałowała umierającego przyjaciela w policzek i ruszyła w kierunku drzwi. Chory bez słów podniósł palce w wolnościowym geście. Dziewczyna odwróciła się jeszcze raz i szybkim krokiem wyszła na korytarz. Trzeba się spakować. Za dwa dni wylot tam, gdzie nie dosięgną jej SB-ckie łapy.

Fordon to stan duszy. Trwa we mnie mrokiem wilgotnych, więziennej nocy. Zrywa mnie nad ranem krzykami bitych w kabarynie¹ kobiet. Dotknął mnie chłodem swoich osiemnastowiecznych murów i wrył bliźnę w moim sercu, która czasem paprze się i krwawi.

Słyszałam, że Gwiazdę odsunęli, a Wałęsa pije z komunistami w Magdalence. Teraz właśnie otwarła się moja blizna. Boli nawet bardziej, niż

¹ Kabaryna – izolatka więzienna.

kiedyś, w Fordonie. Wtedy jeszcze miałam nadzieję, że pewnego dnia obudzę się w wolnej Polsce. Że wyrwę murom zęby krat, że mury runą... Dziś wiem, że śpiewaliśmy samotnie naszą pieśń, a mury rosły, piętrzone przez nową postkomunistyczną bandę.

Czy jestem Polką? Tak, zdecydowanie tak!

Gdzie jest moja Ojczyzna? Ciągle czekam, że ją wszyscy odnajdziemy.

Opowiadanie powstało na podstawie książki Ewy Kubasiewicz Houée pt. „Bez prawa powrotu” i filmu dokumentalnego Piotra Zarębskiego pt. „Więżniarki”. Bohaterki książki i filmu to siedem kobiet, które swoją postawą podkopały filary systemu komunistycznego i przyczyniły się do jego zachwiania. Cena, jaką zapłaciły za bezkompromisowe opowiedzenie się po stronie prawdy, była bardzo wysoka. Więżone, represjonowane, szykanowane musiały uciekać z kraju, by ratować życie.

Chory system nie runął jednak po 1989 roku. Mówią, że komuna upadła wtedy, ale „na cztery łapy”.

Chleba naszego...



Pociąg miał stać jeszcze wiele godzin. Pan Stanisław, który z racji swoich częstych przed wojną wizyt za wschodnią granicą dobrze znał rosyjski, już po raz trzeci wracał od maszynisty z zapewnieniem, że do piętnastej pociąg na pewno nie ruszy. Przed nimi transporty wojskowe na pół dnia zablokowały przejazd na południowy wschód, w kierunku Uzbekistanu.

W innych okolicznościach rzekłbyś, że dzień był piękny. Słońce o barwie pomarańczowej stało nisko nad lasem, malując śnieg na przedziwny różowawy kolor. Czarna gaśienica pociągu wdarła się w ten spokojny zakątek, rozdzielając torami połączenie nieskazitelnie czystego śniegu. Ludzie spacerowali obok swoich wagonów, rozmawiali, zaglądali w czeluści rozsuwanych drzwi, z których gdzieś podnosiła się para gotowanej na piecykach wody. Zimowe popołudnie było mroźne, choć nie mogło się równać z ciemniejącym niebezpieczeństwem zimowego wieczoru czy nocy.

– Stoimy do piętnastej – oznajmił głośno Stanisław, gdy zbliżał się do rozsuniętych do połowy drzwi swojego wagonu. Ze środka z wyrazem zatroskania na twarzy wyglądała jego żona, Barbara. Za stojącą w drzwiach kobietą na żelaznej pryczy siedziała matka Stanisława, pani Helena, zasuszona staruszka w grubej chustce na głowie. Do kompletu rodzinie brakowało tylko siedemnastoletniej Katarzyny, córki Stanisława i Barbary. Dziewczyna wcześniej rano, po otrzymaniu informacji o wielogodzinnym postoju pociągu, wybrała się do odległej o około trzy kilometry wioski, by wymienić pierścionek na coś do jedzenia.

Dochodził kwadrans po trzynastej i pan Stanisław złapał się na tym, że stwierdza ten fakt po raz piąty z rzędu. Tak jakby częste spoglądanie na zegarek miało dać córce więcej czasu na powrót. Pozostali towarzysze podróży, znajomi z rodzinnej miejscowości, z której zostali wywleczeni siłą przez NKWD i pod bronią wepchnięci do bydłych wagonów, zajmowali się wyczesywaniem wszy lub tępo patrzyli w kierunku

odległego widnokregu. W tamtą też stronę spoglądała pani Barbara, wypatrując poniżej pomarańczowej słonecznej kuli postaci wychodzącej z lasu na równinę. Stała tak już dwie godziny, ale żaden, nawet najmniejszy czarny kształt nie zakłócił podbarwionej bieli bezkresnej przestrzeni. Córka nie wracała, choć z obliczeń wynikało, że o tej porze powinna już wyjść z lasu.

– Maszynista mówił, że tu nie ma wilków – pan Stanisław próbował złagodzić jej obawy – zdąży wrócić, to mądra dziewczyna.

– Basiu! – zawołała ze środka starsza pani.

– Słucham, mamu – Barbara niechętnie odwróciła wzrok od lasu.

– Czy my mamy jeszcze jedzenie? – głos pani Heleny był cichy, nie chciała niepokoić sąsiadów.

Pani Barbara milczała jakiś czas.

– Może Kasia coś dostanie we wsi – odezwała się po chwili i wróciła do obserwacji.

Teraz wolałaby tu swoją córkę całą i zdrową niż worki najlepszych frykasów. Rozum podpowiadał jej, że nie mieli wyboru. Mąż z powodu chorych stawów nie przebrnąłby przez wysoki do kolan śnieg. Ale mimo to do głosu coraz częściej dochodziła rodząca się w sercu wątpliwość, czy dobrze zrobiła, zezwalając córce na marsz do wsi.

Wtem pod linią lasu pojawił się maleńki kształt. Barbara zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Drobnym ciemnym punktem wyraźnie się poruszał, więc zeskoczyła z progu wagonu i zrobiła kilka kroków w tamtą stronę.

– Popatrz, Stasiu, może to Kasia wraca? – wskazała ręką las i spojrzała do tyłu na męża.

– Basiu, tego krzyża nie sprzedawaj, to pamiątka po dziadku – kobieta usłyszała z tyłu głos swojej teściowej, która stała teraz w drzwiach wagonu.

– Jakiego krzyża, mamu? – rzuciła nerwowo, nawet nie odwracając głowy od drobnej postaci, poruszającej się wolno na widnokregu.

Odległość pomiędzy lasem a pociągiem topniała bardzo powoli, ale gdy po kilkunastu minutach wypatrywania oczu zmaląła odrobinę, widać już było, że postać niesie coś na plecach. W pewnym momencie ludzki kształt zniknął w śniegu.

– To Kasia! – krzyknęła Barbara. – Idę po nią!

– Sama nie dasz rady! – Zawołał Stanisław i zaczął zapinać kożuch pod brodą.

– Pamiętaj, Basiu, to pamiątka po dziadku – doleciał do nich jeszcze niktający głos starszej pani, ale nie mieli już czasu, by się zastanowić, dlaczego w tym głosie było tyle żalu.

Brnęli już przez wysoki śnieg do drobnej postaci, która wyraźnie próbowała powstać na nogi. Dystans między nimi stopniowo się zmniejszał. Słońce dotknęło już pomarańczową tarczą linii lasu i śnieg zrobił się jeszcze bardziej różowy. Cień towarzyszący wyraźnie teraz widocznej Kasi wydłużył się jeszcze, gdy udało jej się wstać o własnych siłach. Kolejne kilkanaście minut zeszło na gorączkowej walce z wstrzymującym ruchy sypkim śniegiem. Barbara i Stanisław byli już pewni, że to ich córka, obciążona czymś, nie ma już sił, by iść dalej. Ona także ich poznała i machała ręką z daleka, a z każdą minutą dało się rozróżnić więcej szczegółów jej drobnej postaci, wreszcie zapłakaną twarz. Z ulgą padli sobie w objęcia. Umorusana w zamarznętym śniegu dziewczyna wskazała worek, który tak mocno obciążył jej słabe ramiona.

– Mam ziemniaki – mówiła do nich przez łyż. – Mamo, mamy ziemniaki!

– Wracamy, kochana – pani Barbara wzięła osłabioną dziewczynę pod rękę – trzeba cię ogrzać, szybko!

Pan Stanisław dźwignął worek na plecy i dopiero teraz dotarło do niego, że bezcenny pakunek mógł ważyć pewnie ze czterdzieści kilogramów.

Jak ona go tu przywlekła? – zastanowił się, ale nie zdążył wypowiedzieć na głos swojego zdumienia, bo z oddali doleciał do nich przeciągły gwizd lokomotywy. Mężczyzna nerwowo spojrzął na zegarek. Czternasta pięć. Bez słowa przyspieszyli kroku. W oddali przed nimi drobne postacie rozsiane w czerwieńjącym teraz śniegu zaczęły niknąć w ciemnych otworach wagonów.

– Matko Przenajświętsza – jęknęła Barbara, walcząc ze spowalniającym ruchy śniegiem. Stanisław obciążony niemilosiernie został wyraźnie z tyłu.

– Rzuć to, Stasiu! – krzyknęła kobieta, gdy obejrzała się za siebie.

Takie rozwiązanie przemknęło mężczyźnie po głowie. Ale pociąg ciągle przecież stał, tylko ich wagon, coraz lepiej widoczny, z machającymi

z wnętrza ludźmi, miał jeszcze otwarte drzwi. Od ratunku dzieliło trójkę ludzi kilkadziesiąt metrów. Drugi gwizd lokomotywy oznajmił gotowość do odjazdu. Znajomi machali teraz zawzięcie, mobilizując ich do przyspieszenia kroku. Stanisław miał coraz większe kłopoty z nabraniem powietrza w płuca. Każdy oddech palił piersi żywym ogniem.

Nagle od strony lokomotywy na śnieg zeskoczył rosyjski żołnierz i ruszył w stronę biegnących ludzi. Stanisław z przerażeniem dostrzegł, że żołdat zatrzymuje się w śniegu, ściąga z ramienia karabin i mierzy w ich kierunku.

– Wilki! – krzyk od strony pociągu dotarł do biegnących na ułamek sekundy przez hukiem wystrzału, który wstrząsnął równiną. Skowyt z tyłu za Stanisławem zmroził mężczyźnie skórę na mokrych od potu plecach. Żołdat podniósł do góry rękę i zaczął się gromko śmiać. Z lokomotywy odpowiedziały mu krzyki po rosyjsku. Rodzina dopadła do wagonu i dopiero teraz odważyli się odwrócić głowy. Kilka ciemnych kształtów czmychało w stronę lasu, a żołdat wracał zadowolony do lokomotywy, podśpiewując wesoło:

Как-то летом на рассвете

Заглянул в соседний сад

Там смуглянка-молдаванка

Собирает виноград¹

Stanisław pomógł córce i żonie wejść do wagonu, potem wrzucił tam worek i sam wdrapał się do środka.

– Boże drogi, dobrze, że jesteście! – usłyszał głos Janka, przyjaciela w wagonowej niedoli, który otrzepywał go teraz ze śniegu. Stanisław upewnił się, że żonie i córce nic nie jest, uśmiechnął się do nich, wyrównał oddech, po czym zdjął rękawicę i włożył rękę do worka. We wnętrzu natrafił na zamrożoną breję, z której na oślep wyłuskał coś, co w dotyku wydawało się okrągłe. Rozgniół zamrożoną bulwę dłonią. Z boków palców wyciekła brudna ciecz. Spojrzał na Kasię i nadal starał się uśmiechać. Jej mama okryła ją już kocem, nacierała energicznie ramiona dziewczyny. Teraz dopiero dotarło do Stanisława, że na pryczy brakuje kogoś. Nerwowo rozejrzał się po wagonie.

¹ Fragment skocznej pieśni rosyjskiej pt. „Smuglianka”.

– Gdzie mama? – zapytał, z trudem podnosząc się na nogi. – Czy ktoś widział moją matkę?!

Kolejny gwizd lokomotywy poprzedził szarpnięcie, po którym rozpoczął się odczuwalny, wolny ruch pociągu. Stanisław dopadł do drzwi i otworzył je szeroko.

– Mamo!!! – krzyknął wychylony i ogarnął przerażonym spojrzeniem szarzące przedpole. Ani jednej postaci, tylko martwy wilk tam, gdzie dopadła go rosyjska kula.

– Zatrzymać pociąg! – ryknął w przód, w stronę lokomotywy, ale nikt go nie słyszał. Świat poruszał się powoli, panika zaciskała palce na gardle mężczyzny.

– Stanisław – odezwał się ktoś z tyłu. Odwrócił oszalały wzrok – Stanisław, ona odeszła, powiedziała, że i tak nie macie co jeść... Żeby jej nie szukać.

– Co?! – Stanisław złapał osobę stojącą przed nim za ramiona, ale dostrzegł tylko smutek wynędzniałych głodem oczu. Odwrócił się i jeszcze raz przecesał wzrokiem ciemniejący zmierzchem ocean śniegu. Padł na kolana obok drzwi, które mężczyźni cicho domknęli z obawy przed zimnem.

– Tato! – wołała zapłakana Kasia.– Tato!

Stanisław spojrział na worek przemarzniętych ziemniaków, potem na żonę i córkę. Obraz gęstniejącego wnętrza wagonu rozmył mu się, gdy jego oczy napełniły się łzami.

– Mówiła, żeby nie sprzedawać jej krzyża – powiedział ktoś z boku.
– Tak prosiła.

Zmierzch zapadł szybko, a wraz z nim wagonową przestrzeń wypełniły cicho szeptane modlitwy. O łagodną śmierć dla osamotnionej wśród nieludzkiej ziemi Heleny.

O powrót do Ojczyzny.

O chleb powszedni, którego jutro także nie będą mieli.

Opowiadanie inspirowane dramataми deportowanych do Rosji Sowieckiej Polaków, których losy opisuje pani Ewa Kubasiewicz-Houée w swojej książce pt. „Przypomnij mi zapach chleba”, Wydawnictwo Lena Wrocław.

Umrzeć za coś



Człowiek powinien żyć po coś i umierać za coś.

Kiedy człowiek siedzi w obozie śmierci, skulony pod lufami karabinów maszynowych wystających z „bocianów”¹, wtedy nie spodziewa się już niczego dobrego. Ostatni posiłek dostaliśmy dwa dni temu, nie wypuszczają nas z baraków, niedaleko jakieś strzały, dudnią odgłosy wybuchów. Czy to Polacy walczą, czy kto inny, nieważne. Dla nas oznacza to tylko jedno. Zbliża się nasz czas.

Modlimy się od rana. Kto ma siły, by ustać na nogach, spogląda przez szczeliny w deskach na okolicę. Zastanawiamy się, kiedy skierują lufy karabinów w naszą stronę. Tyłu już umarło z głodu i chorób, tyłu ciągle umiera. Czy coś gorszego może jeszcze nas spotkać?

Mój syn, Izaak... mój syn...

Ranek minął wiele godzin temu. Nie mamy zegarków, ale mogło być przed południem, gdy usłyszeliśmy ryk silników od strony Okopowej. Wyrzależem przez wybitą w desce dziurę. Trudno mi było się schylić, bo trzy dni temu esesman skopał mnie boleśnie za to, że za późno zdjąłem przed nim czapkę. Miałem szczęście. Mógł mnie przecież za to zastrzelić. Dopiero po chwili dotarło do mnie to, co zobaczyłem.

Na teren obozu, przewracając bramę, wtoczył się czołg. Właściwie to dosłownie wpadł, bo gdy zjechał w dół z barykady, prawie zarył lufą o ziemię. Esesmani zaczęli do niego strzelać z wszystkich stron. Milczący początkowo czołg huknął salwą, że aż usiadłem na ziemi, a barak zatrzęsł się w posadach. Usłyszeliśmy, że o dach uderza coś, jakby gradobicie. Pewnie to po tym wystrzale. Teraz byliśmy już pewni, że ktoś walczy

¹ „Bocian” – wieża strażnicza w obozie koncentracyjnym.

z pilnującymi nas esesmanami. Nawet najciężej chorzy podnieśli głowy i błysk nadziei pojawił się w ich oczach. Wstałem i spojrzałem znów przez otwór w deskach. Zza czołgu na teren obozu zaczęli się wdzierać żołnierze w rudo-plamistych mundurach z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Kolejny wystrzał z czołgu zachwiały niebezpiecznie barakiem. Serie karabinów maszynowych przeplatały się z okrzykami Niemców. Jeden z biegnących żołnierzy złapał się za pierś i upadł. Zaraz potem betonowa wieża, z której strzelano bez ustanku rozprysła się i runęła na plac. Pył przesłonił mi widoczność, strzały były coraz rzadsze. Z tyłu, od strony kwater strażników doleciały trzy głucho eksplozje. Potem wszystko ucichło.

Moi towarzysze zdecydowali się wyważyć wrota i zaczęli wychodzić na zewnątrz. Ruszyłem za nimi, w uszach mi dzwoniło. Dym dusił niemilosiernie. Nasi obejmowali żołnierzy, skakali z radości, tańczyli. To byli polscy powstańcy w niemieckich mundurach. Szedłem przed siebie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co tu się stało. Obok czołgu zauważyłem chłopca. Leżał na plecach, nad nim pochylała się młoda dziewczyna w panterce. Ktoś biegł obok z pokrwawioną kobietą na rękach, krzycząc:

– Dwaj sanitarkę! Dawaj sanitarkę, szybko!

Jeszcze kilka kroków i dotarłem do rannego mężczyzny. Sinymi ustami szeptał:

– Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna... Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna.

Dziewczyna z krzyżem na ramieniu kładła białe opatrunki na piersi chłopca, a te natychmiast zmieniały kolor na czerwony. Ten chłopiec. Czarne włosy, wyglądał jak Izaak. Po chwili znieruchomiał. Zacząłem szeptać *El male rachamim*¹. Trudno mi było przypomnieć sobie wszystkie słowa. Umarł. Jak Izaak. Ale umarł w walce. Umarł za coś.

„Bajan”² z głową wciśniętą w półkolisty uchwyt operował sprawnie i błyskawicznie rączkami bębna i manetkami elektrycznego silnika

¹ *El male rachamim* – żydowska modlitwa za zmarłych.

² Jan Myszkowski-Babiński – celowniczy czołgu.

sterującego działem. „Magda”¹ ruszyła kilka metrów do przodu. Witek Bartnicki z ogromnym trudem załadował rozpryskowy pocisk, a lufa już kierowała się na duży biały budynek, który ukazał się pomiędzy obozowymi barakami. „Wacek”² miał poważne kłopoty z oddychaniem, dwoiło mu się w oczach, powietrze wokół aż gęste było od gazów bojowych po odpalonych pociskach.

– Boże dopomóż – wyszeptał i krzyknął – Ognia!

Tąpnięcie szarpnęło żelaznym brzuchem maszyny i rzuciło załogą. Kapral Zenka nabił sobie paskudnego guza na czole. Zsunął mu się hełmofon. Znów chmura duszących gazów wypełniła wnętrze pozbawionego wentylacji czołgu.

– Otworzyć właz! – krzyknął dowódca. – Podusimy się tu!

O pancierz zagrzechotały jeszcze dwie serie z karabinu maszynowego. Kierowca, podporucznik Moszczeński wyłączył silnik, by oszczędzić paliwo.

– Opuścić czołg! – padła komenda i załoga ruszyła w kierunku jasności na górze, skąd dało się odczuć lekkie powiewy świeżego powietrza. Gdy już wszyscy wyszli, Wacek Micuta usiadł na masce czołgu i tarł oczy energicznie. Rozglądał się wokół, próbując złapać ostrość widzenia.

– Teren bezpieczny, panie poruczniku – meldował ktoś z boku. – Straty: jeden zabity, jedna ranna.

Z baraków wysypywali się ludzie w pasiakach. Morro biegł z kimś na rękach w stronę przewróconej bramy obozowej. Obok czołgu leżał nieruchomo jeden z szturmowców, nad nim klęczała sanitariuszka „Lusia”³. Zawiało dymem ze spalonych wież strażniczych.

– Panie poruczniku! – Doleciało z drugiej strony czołgu – obóz jest nasz!

Jakiś wynędzniały człowiek w łachmanach powoli zbliżał się do nich. Patrzył na porucznika i kiwał głową. Przyszło wyzwolenie. Za późno. Jego syn Izaak nie dożył.

¹ Niemiecki zdobywczy czołg Panther, który posłużył powstańcom do zdobycia obozu Gęsiówka.

² Porucznik Waclaw Micuta – dowódca czołgu.

³ Alicja Gołod-Gołębiowska – sanitariuszka plutonu pancernego.

Komendant obozu leżał skacowany po wczorajszym picu do lustra. Adiutant dyskretnie położył na jego biurku listy i zwrócił mu uwagę, że jeden z nich, z dowództwa, oznaczony jest sygnaturą „PILNE”. Usłyszał w odpowiedzi wiązaną przekleństw, więc wycofał się do swojego gabinetu.

Dziesiąta – pomyślał żołnierz – dam mu jeszcze kwadrans, odprawę trzeba będzie znów przełożyć na później.

List leżał sobie na biurku pod oknem. Tym samym oknem, które wychodziło na stronę baraków, a z którego komendant czasem celował do więźniów ze sztucera. W środku koperty w kilku żołnierskich słowach dowództwo sformułowało rozkaz o likwidacji obozu. Rozkaz podpisał SS-Oberführer Paul Otto Geibel. W rozkazach nie było oczywiście słów „zabić” czy „rozstrzelać”. Niemcy nie byli przecież barbarzyńcami. Napisane było „jeńców nie ewakuować, wycofuje się tylko załoga obozu”.

Po godzinie, gdy adiutant wpadł do sypialni dowódcy, alarmując, że obóz jest atakowany przez polskich bandytów, list leżał nadal zapieczętowany na swoim miejscu. Po kolejnym kwadransie dokładnie naprzeciw okna stanęła „Magda” i oddała salwę w kierunku białego budynku, w którego oknach kłębiły się czarne esesmańskie mundury. Faszyci w tej jednej, idealnie kierowanej salwie pocisku czołgowego poczuli przedsmak tego, co czekało już na nich po drugiej stronie i co pozostanie ich udziałem już na wieki. Poczuli, co to piekło.

Stopniowo

Stopniowo wstaje dzień i słońce przebija się przez poranne mgły. Dojrzewa we mnie decyzja o pierwszej porannej kawie. Potem będzie trzeba coś „wcisnąć” do ust, choć wszystko smakuje jak popiół.

Stopniowo wyzbywam się rzeczy. Ten piękny szal na zimowe palto już mi nie będzie potrzebny. Ciepłe, podszyte futerkiem rękawiczki podaruję bratowej.

Powoli dociera do mnie i zaczynam rozumieć, że czas jest naprawdę cenną rzeczą. Że niedokończony kwietnik w ogrodzie nie ma w tym kontekście żadnego znaczenia.

Przychodzą ludzie, stopniowo coraz rzadziej. Mąż i dzieci oddalają się, a guz pierśsi rośnie stopniowo. Do życia potrzeba coraz mniej, w zasadzie dziś tylko trochę powietrza. Czy jutro będzie potrzeba więcej? Czy jutro będzie...?

Stopniowo Bóg wyrywa korzenie wrośnięte w ziemię, aby roślina, którą zasiał kiedyś, mogła wędrować wyżej, ku jasności. Ponad przeżwanie i zawłaszczanie.

Ponad upór i narzekanie. Ponad chwilowe bytowanie, które właśnie stopniowo się kończy.

Nieludzka ziemia



– Pyta mnie pan o to, kogo tam, w sowietach spotykałam? Odpowiedź jest bardzo prosta. Byli tam ludzie, którzy pomimo ogromnej biedy dzielili się z nami, Polakami chlebem. I były też demony w ludzkich skórach. Niby wyglądały jak my, ale nie byli ludźmi.

Jak pan widzi, podział istot na świecie, który mnie wtedy otaczał był bardzo prosty.

Czemu pan nie pisze?

To, co mówię, to jest wszystko prawda.

Czemu pan tak patrzy?

Że nie opublikują?

To niech pan lepiej napisze o wynikach planu pięcioletniego, to panu opublikują na pewno.

I proszę tu więcej nie przychodzić. Ja tam nie widziałam żadnego „kraju rad”, jak próbujecie mi wmówić. Tam, gdzie nas wywieźli, nie ma żadnego kraju, tylko głód i śmierć...

Niech pan tu więcej nie przychodzi.

Uzbecka zima na dworcu w Katta Kurgan nie różniła się od żadnej innej dworcowej zimy na skałczonym wojną świecie. Marysia poruszała się wszędzie ze swoimi młodszymi siostrami, Basią i Halinką, oraz z całym dobytkiem zawiniętym teraz w poplamioną, grubą szmatę.

Świat wokół wypełniony był przez brud i rzesze przelewających się przez dworzec wynędzniałych postaci. A czas oczekiwania na powrót mamy wypełniały prawie całkowicie dwa zajęcia – usilne poszukiwanie czegokolwiek do zjedzenia i walka z wszami. Te łązące po wszystkim paskudne stworzenia odrywały na czas walki z nimi myśli trójki

małych dzieci od ich porzuconej w lesie mamy. Siedmioletnia Basia ciągle pytała, dlaczego mama nie pojechała z nimi. Jej starsza siostra, Marysia tłumaczyła to wiele razy, ale im dłużej o tym mówiła, tym trudniej było jej powstrzymać łzy. Moment, w którym pociąg ruszył, prześladował ją teraz w nocnych koszmarach. A przecież mama powiedziała jej wyraźnie, że postój pociągu potrwa wiele godzin i że może uda się zdobyć we wsi choć trochę chleba dla małej Halinki. Dziewczyna zapamiętała dobrze to ostatnie spojrzenie mamy. Złapana w pułapkę miłość, jak szamoczący się w klatce ptak, emanowała z jasnych matczynych oczu, gdy ostatni raz głąskała po głowach trójkę swoich córek.

Dlaczego pociąg odjechał, gdy wielka gromada Polaków, brodzących po kolana w śniegu, oddaliła się od niego? Tego nikt nie wiedział. Ile to razy w czasie wielu dni jazdy na południowy wschód zadawano sobie w wagonowej społeczności to najtrudniejsze pytanie? Tam zostali przecież ojcowie i matki, ciocie i bracia, kilkaset osób porzuconych bez ciepłych ubrań w śnieżnej głuszy.

Na dworcu w Katta Kurgan, gdzie wysadzono pozostałych, piętnastoletnia Marysia stanęła w roli głowy rodziny wobec dwójki młodszych sióstr. Próbowwała przyjąć ten ciężar, podolać przedwczesnej odpowiedzialności. Dbała, by dziewczynki modliły się rano i wieczorem o powrót mamy. Nie zaniedbywała też codziennych wizyt na peronie odwiedzanym z rzadka przez napęczniałe ludźmi pociągi. Tu jednak nie można się było z nikim porozumieć. Gdy po raz kolejny okazywało się, że mama nie wysiadła z wagonów, trzeba było utulić płaczące dziewczynki i zapewnić je, że może mama przyjedzie jutro.

Świadomość, że tak wiele dni jechały tu bez niej, wprawiała Marysię w przygnębienie. W tobołku ciągle pozostawał zimowy płaszcz mamy. Ale nie można było nawet pomyśleć o tym, by wymienić go na jedzenie. Bo to tak, jakby pogodzić się z myślą, że mama już nigdy nie wróci.

Uzbecka zima w jurcie, zwanej przez miejscowych czajchaną, była dla tych dzieci najstraszniejszą z wszystkich zim. Bo mroziła dziecięcę umysły chłodem samotności w obcym kraju, na niewyobrażalnie wielkich połaciach skutej lodem ziemi. Wśród tysięcy skutych lodem serc obcych, nieprzyjaznych ludzi.

W nocy przebudził ją jęk. Szybko poderwała głowę i spojrzała na siostry. Dostrzegła głowy dziewczynek w bladym świetle naftowej lampy, palącej się nad samowarem ustawionym w centrum jurty, i uspokoiła się nieco. Nasłuchiwała chwilę i znów usłyszała ciche zawodzenie. Dochodziło gdzieś z dołu. Ostrożnie, by nie obudzić dzieci, wychyliła się przez krawędź pryczy i spojrzała w dół. Były tam jeszcze dwa poziomy żelaznych leży.

Marysia z dziewczynkami, nauczona wagonowym doświadczeniem, zajęła najwyższy, trzeci poziom, gdzie chłód był mniej dokuczliwy. Na drugim poziomie pod nimi dostrzegła mężczyznę, a właściwie cień człowieka. Mimo słabego światła dziewczyna wypatrzyła zapadnięte policzki i świecące gorączką, szeroko otwarte oczy. Ten człowiek umierał. Trzymał się za brzuch, a jego twarz wykrzywiała się co chwila w bolesnym spazmie. W jednej ręce miał różaniec.

– Jezusie – jęczał między atakami bólu – Jezusie!

Marysia zauważyła jakiś ruch obok pryczy chorego. Pojawiła się tam okryta cieniem drewnianego słupa najpierw głowa, potem dłoń, która wykonała szybki ruch i wyrwała różaniec z ręki cierpiącego człowieka. Ten nie miał sił, by protestować. Otworzył tylko szerzej oczy i ostatni raz wyjęczał:

– Jezusie!

Potem znieruchomiał. Dziewczyna schowała szybko głowę, by nie prowokować napastnika. Odczekała kilka minut gotowa podnieść wrzask w razie napaści, po czym uznała, że chyba złodziej jej nie zauważył. Opatuliła siostry jak najciszej i zaczęła odmawiać różaniec za tego człowieka, który umarł poniżej jej pryczy. Odliczała na palcach kolejne paciorki. Przy drugiej tajemnicy bolesnej wydało jej się, jakby ktoś odmawiał modlitwę razem z nią. Ciepła ręka gładziła jej skołtunione włosy, dotykała z czułością brudnych policzków.

– Nie bój się, moja kochana – usłyszała gdzieś w głowie głos. – Mateczka jest bardzo blisko.

– *Czy coś oprócz głodu pan jeszcze pamięta?*

– *Tak... Cisza i piekielne fale mrozu.*

– Cisza?

– Ale to nie była taka cisza, jaką każdy zna z wiejskiego podwórka. Ta polska cisza miała jednak w sobie jakiś szum, choćby wiatru, szczekanie psa, cokolwiek. Tamta, syberyjska cisza była tak upiorna, jakby ktoś pogrzebał człowieka żywcem. Słyszać było, jak na głowie poruszają się włosy, jak powietrze wypełnia i ulatuje z płuc. Oprócz tego dookoła przerażające nic. Bezruch, bezdźwięk, nic.

– A co z tym mrozem? Słyszałam, że dochodził do minus czterdziestu stopni?

– Mróz to nie wszystko, moja kochana, przecież siarczyste mrozy mieliśmy też w Polsce. Tam zdarzały się burze lodowe, tak gwałtowne, że ludzie wraz z całymi połaciami lasu zamarzali w kilka minut.

– ?!

– Tak, wiem, że to nieprawdopodobne, ale widziałem kiedyś takich ludzi. Zgubiliśmy drogę do obozu i musieliśmy nocować w lesie. Z naszej grupy piętnastu mężczyzn rano obudziliśmy się tylko w dziewięciu. Reszta zamarzła. Zdezorientowani tą przekłętą ciszą szliśmy na oślep, gdy nagle usłyszeliśmy odgłosy warczenia i szamotaniny. Wyszliśmy na polanę i dostrzegliśmy człowieka stojącego przy drzewie i stanowiącego z drzewem jedną lodową całość. Drugiego wilki już obaliły na ziemię, a właściwie pod naciskiem wilczych łap upadł tułów, a stopy nadal tkwiły, zakończone brunatnymi kikutami w uwiązanych w lodzie butach. Gdy nadchodziliśmy, lizaly trupa po twarzy, chcąc stopić lodową warstwę, którą był pokryty.

– Nie chce się wierzyć.

– To nie była normalna ziemia, tam, gdzie nas wywieźli w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Ta ziemia była przekłeta, dlatego do dziś mówimy o niej: „nie ludzka ziemia”.

– A jacy byli tam ludzie?

– Ludzi było niewiele, choć oczywiście zdarzali się też tacy. Większość istot, które tam spotkałem, to były diabły w ludzkich skórach.

– ?!

– Czy pani tam była?

– Nie, nigdy.

– To nie zrozumie pani, szkoda mojego czasu.

Dzień, w którym wywożono dziewczynki z czajchany dworca Katta Kurgan był szczególnie ciężki. Marysia zostawiła karteczkę na popękanej tablicy informacyjnej peronu na wypadek, gdyby mama dotarła z opóźnieniem. Dziewczynki płakały, gdy sadzano całą trójkę na dwukołową arbę, ale nie to zaniepokoiło Marysię. Halinka padła dziwnie osłabiona, a Basia zaczęła kaszleć. Po kilku godzinach wolnej jazdy obie marniały w oczach. Skośnooki woźnica spoglądał co chwila do tyłu na dzieci i mruczał coś do siebie. Wreszcie wyciągnął zza pazuchy kawałek pieczonego na blasze podpłomyka i podał dziewczynie. Marysia wzięła podarek, przyłożyła do twarzy i zaciągnęła się zapachem chlebowego wypieku. Z zachwytu aż zakręciło jej się w głowie. Nie umiała podziękować po uzbecku, więc uśmiechnęła się do woźnicy najcieplej, jak tylko mogła. Woźnica kręcił tylko głową i cały czas mówił do siebie. Gdy zbliżyła chleb do ust małej Halinki, okazało się, że dziecko jest półprzytomne z gorączki.

Woźnica chyba domyślił się, że z dziewczynkami nie jest dobrze, bo pognął osiołka batem. Gdy dotoczyli się do małego miasteczka, Uzbek od razu skierował arbę do miejscowego szpitalika. Na ścianie szarego budynku widniał przybrudzony czerwony krzyż. Mężczyzna wziął Basię na ręce i ruszył w kierunku wejściowych drzwi. Za nimi powlekła się Marysia z Halinką w jednej i ciężkim tobołem w drugiej ręce. Cały korytarz wypełniony był kiwającymi się, obandażowanymi ludźmi. Woźnica zatrzymał jakąś kobietę w szarawym fartuchu i zamienił z nią kilka słów. Ta spojrzała na trójkę dzieci, pokiwała głową i poszła dalej. Uzbek wychodził już z budynku, ale zawrócił jeszcze i wcisnął Marysi dwa kawałki podpłomyka. Powiedział coś niezrozumiałego i zniknął w tłumie ludzi.

– Иди со мной!¹ – usłyszała dziewczyna, gdy odprowadzała wzrokiem pocziwego człowieka.

Szybko zerwała się na nogi i podniosła Halinkę oraz dobytek. Basia szczęśliwie znów stanęła o własnych siłach, widać było jednak, że walczy ze słabością. Gwar i jęki ludzi otoczyły ich zewsząd. Ktoś czepiał się rękawów prowadzącej ich pielęgniarki, ktoś inny próbował wydrzeć dobytek dziewczynie. Na końcu korytarza zrobiło się trochę luźniej.

¹ Chodźcie ze mną!

– Посто́йте здесь!¹ – padła krótka komenda z ust uśmiechniętej kobiety i dzieci znów usiadły przy ścianie. Halinka oddychała szybko, miała zamknięte oczy i zaropiałe brzegi powiek.

– Czy Halcia jest bardzo chora? – dziewczyna usłyszała słaby głos Basi.

– Chyba tak – Marysia otarła pot z czoła małej siostry.

– Co my zrobimy, Marysiu? – pytanie dziewczynki zawisło w powietrzu i nie doczekało się odpowiedzi.

Dziewczyna ułożyła chorą na tobołku, po czym wstała i przez szybę w białych drzwiach zajrzała do sali, do której weszła pielęgniarka. Ich przewodniczka stała naprzeciw wysokiej kobiety ubranej w biały, niemożliwie jasny fartuch, który aż raził w oczy. Pielęgniarka składała ręce i widać było z wyrazu jej twarzy, że prosi o coś tamtą. Biała, dumna pani tylko kręciła przecząco głową, ale gdy rozejrzała się nerwowo, dostrzegła przez drzwi dziewczynę stojącą na korytarzu. Spoglądała na nią chwilę i machnęła ręką, następnie zniknęła w głębi gabinetu.

– У меня есть разрешение, давай, дети, давай!² – szeptała szybko pielęgniarka, gdy stanęła przy nich. Oglądała się przy tym na przeszklone drzwi, jakby się obawiała, że tamta wróci i zmieni zdanie. Znów ruch, przemieszczanie się szarymi korytarzami, a im dalej w głąb budynku, tym mocniej chłód pętał nogi osłabionych dziewczynek. Na środku długiego korytarza Basia osunęła się bez sił i kobieta zmuszona była wziąć ją na ręce. Wreszcie weszli do jakiejś sali o przyjemnie białych ścianach. Widać było, że niedawno ktoś remontował to pomieszczenie. W rogu stało jedno łóżko i kilka wiader. Marysia położyła na tym łóżku małą Halinkę, a sama padła obok wyczerpana.

Pielęgniarka ułożyła Basię przy rodzeństwie i szybko wyszła z sali. Dzieci były przyzwyczajone do mrozu, ale tu, wewnątrz jasnego pomieszczenia musiało być minus kilka stopni. Marysia wydobyła z tobołka płaszcz mamy i szybko rozścieliła na sprężynach łóżka. Potem przykryła siostry wszystkim, co mieli ze sobą.

Do pomieszczenia wpadła znów ta sama pielęgniarka i nakryła dzieci jeszcze dwoma przyniesionymi kocami. Kolejno dotknęła główek

¹ Poczekajcie tu!

² Mam zezwolenie, chodźcie, dzieci, chodźcie!

dziewczynek, spojrzała zatroskana na Marysię i znów pospiesznie ich opuściła.

Białe ściany, początkowo wzbudzające otuchę, teraz w umyśle Marysi stopniowo zdawały się zmieniać na zimnoniebieskie. Dziewczyna zmobilizowała siły, by wstać. Upewniła się, że siostry są ciepło okryte, wzięła kubek i wyszła na korytarz w poszukiwaniu wody. Chciała choć zimnym okładem na czoło obniżyć gorączkę dziewczynkom tak, jak uczyła ją mama. Gdy doszła do końca korytarza, w małym pomieszczeniu na szczytki zobaczyła wiadro. Dotknęła zamarznętej tafli wody i cofnęła rękę. Coś nie dawało jej spokoju. Szybko pobiegła do swojej sali, gdzie już od progu wyczuła jakąś zmianę. Gdy wychodziła, obie dziewczynki przez zatkałe katarami nosy walczyły o powietrze charczącymi oddechami. Teraz było tam ciszej. Podeszła do łóżka i zakryła usta w niemym krzyku. Jej pięcioletnia siostra, Halinka leżała sina i nie oddychała. Marysia wiele razy widziała śmierć. Ludzie wydawali ostatnie tchnienie, które nie wracało już do nieruchomych piersi. Poszerzały się ich źrenice, jakby w tej chwili dostrzegali coś niezwykłego. Ich usta otwierały się w niezrozumiałym akcie ostatecznego zdumienia. Ale tu jej siostra... Jej siostra nie oddycha!

Pomimo przejmującego chłodu zrobiło jej się gorąco. Dopadła do łóżka i zaczęła pocierać policzki Halinki. Basia odwróciła się do niej i spojrzała przytomnymi oczami.

– Była tu pani – odezwała się cichym głosem.

– Co? – dziewczyna w panice potrząsała ramionami martwego dziecka.

– Była tu pani – powtórzyła Basia. – Zabrała Halcię.

– Jaka pani?! Co ty mówisz...?! – głos zamarł dziewczynie w gardle.

– Była piękna. – Jej młodsza siostra patrzyła teraz w sufit – Zabrała Halcię, powiedziała, że wróci po mnie.

– Nie mów tak!!! – krzyknęła Marysia. – Przestań!

Echo jej szlochów odbiło się od pustych, zimnych ścian i wzmocnione ruszyło korytarzem. Wypełniło zakamarki remontowanej części szpitala i dotarło do ludzi cierpiących, gorączkujących, poranionych przez wojnę i nienawiść. Połączyło się w jedną drgającą rozpaczliwie skargę w niebiosach:

– Boże Litościwy!!! – wołali zewsząd ludzie.

Matko Przenajświętsza, nie zabieraj jej teraz! – nierównym, zbolalym rytmem wtórowało serce Marysi.

Do sali wbiegła pielęgniarka, trzymając w rękach szare koce i prowiant. Podeszła do łóżka i ułożyła wszystko delikatnie. Powoli wydostała ciało dziecka z odrętwiałych objęć starszej siostry. Położyła martwą dziewczynkę na jednym z koców, po czym mocno przytuliła Marysię.

– Не бойся – mówiła do niej aksamitnym głosem. – Бог дал, Бог взял¹.

Dziewczyna zacisnęła oczy i poczuła, że traci świadomość.

– Piękna pani zabrała Halcię – usłyszała jeszcze cichy głos Basi i zemdlała.

Ludmiła już trzecią noc czuwała nad ciężko chorym synem. Poprzedniego dnia odwiedzili go koledzy kolejarze, był naczelnik lokomotywowni. Przynieśli kwiaty i butelkę wódki, ale kiedy zobaczyli, że Wasilij jest nieprzytomny, wódkę zabrali z powrotem. Smutno było kobiecie, że synowa nie pojawiła się w szpitalu. Owszem, od kilku lat Wasilij mocno pił, ale kto dziś nie pije w Rosji, przecież nawet wyplatę dostawali czasem w butelkach. Zabrała dzieci i odeszła od Wasilija na krótko przed pojawieniem się pierwszych objawów choroby. Teraz mężczyźnie pozostała tylko opieka starej matki i oczekiwanie na cud.

Wasilij był maszynistą. Pewnego dnia przyszedł z pracy do domu, usiadł na łóżku, potem się położył i tak został wpatrzony w sufit. Lekarze nie wiedzieli, co mu jest. Mówili, że to jakaś dziwna choroba. Sprowadzona szeptucha wybiegła z sali z krzykiem. Gdy matka złapała ją przed wejściem do szpitala, krzyczała, że modlić się nie będzie, bo Wasilij jest przeklęty.

– Mój syn przeklęty?! – wołała za nią Ludmiła. – Ty, szatański pomioście, obyś zdechła!

Placz nad łóżkiem chorego na niewiele się zdał. Dzień przed śmiercią mężczyzny, który nie wiadomo, na co chorował, przyszedł do sali jego kolega, kolejarz. Oczy miał przekrwione, zionęło od niego alkoholem,

¹ Nie bój się, Bóg dał, Bóg wziął.

ale trzymał się jeszcze na nogach. Drżała mu tylko lewa ręka i dziwny, nerwowy uśmiech błękał mu się po twarzy.

– Jak Wasilij, Ludmiło Pietrowna? – zapytał, nie oddalając się od drzwi.

– Witaj, Igor, nic nie lepiej – odpowiedziała kobieta i pogłaskała syna po głowie. – Gdyby choć było wiadomo, co to za choroba.

Dłuższą chwilę trwało milczenie przerwane szaleńczym wyciem z głębi korytarza.

– Ja chyba wiem, Ludmiło Pietrowna. – Igor spuścił wzrok, jakby usilnie szukał czegoś na podłodze przy łóżku.

– Ty wiesz?! – zachnęła się kobieta, ale kiedy spojrzała uważnie na niego, szybko się podniosła i chwyciła go za rękę. – Co wiesz?! Mów!

– My z Wasilijem prowadziliśmy te pociągi z Polakami, pani pamięta, Ludmiło Pietrowna?

– Coś wspominał, ale co to ma do rzeczy?

– Nam mówili... – mężczyzna zawahał się – na centrali znaczy się, żeby ich zostawiać w polu – ostatnie słowa Igor wypowiedział szeptem.

– Jak to w polu? – zdenerwowała się Ludmiła – Co ty mi o pracy... Mów, na co on choruje, Boże mój?!

– Wie pani, co to zostawić w polu tysięcy ludzi, w zimie, bez ubrań? – na chwilę spojrzał matowym wzrokiem, potem odwrócił się. – Dziś byłem u batuszki... Powiedział, że to jakbym Jezusowi przeorał drugi bok na krzyżu...

– Szeptucha! – krzyknęła kobieta i zakryła usta dłonią. Spojrzała załzawionymi oczami na leżącego w gorączce syna. Przysiadła na łóżku, jakby zeszło z niej powietrze i przeżegnała się dwa razy. Kolejarz powłókł się w kierunku drzwi. Z końca korytarza doleciały znów nieludzkie wrzaski. To zaczął się kolejny atak szalu u pacjenta spod trójki.

Tydzień na oddziale w cieple przy stałym dokarmianiu prawdziwym jedzeniem szybko wzmocnił nadszarpnięte zdrowie Marysi. Rozmyślała teraz wieczorami, gdzie może być jej mama. Co ona jej powie, jak się spotkają? Że Halinka i Basia umarły z głodu i wycieńczenia? Kochana Basia, umarła na sześć dni po śmierci najmłodszej z sióstr. Dziewczyna obudziła się rano obok martwej Basi. Nie miała już czym płakać.

Ale musiała znaleźć siły, by samodzielnie pochować siostrę. Halinkę zabrała salowa ze szpitala i nikt nie wiedział, gdzie została pogrzebana. Z Basią musi być inaczej. Obiecała sobie, że dobrze oznaczy to miejsce, aby pokazać je mamie. Wzięła w ramiona wynędzniałe ciało zmarłej siostry, która teraz mogła ważyć może dziesięć kilogramów, i ciężkim krokiem wyszła z sali na korytarz.

Po drodze zabrała ze sobą łopatę, którą przyniósł jakiś mężczyzna. Kierowała się na zewnątrz najkrótszą drogą, ale okazało się, że przedostanie się na tyły szpitala, gdzie urządzono prowizoryczny cmentarz, nie jest takie proste.

Gdy wreszcie znalazła wyjściowe drzwi, natknęła się na tego rosnącego mężczyznę, który przyniósł łopatę. Obrzucił Marysię zimnym spojrzeniem, wyciągnął rękę po łopatę i wskazał przyprószone śniegiem małe brzoźki kilkadziesiąt kroków dalej. Szli teraz razem, a śnieg chrzęścił w przedwieczornej ciszy. Dotarli do miejsca, gdzie ziemia poryta była kopcami, jakby szalał tu jakiś gigantyczny kret. Na jednym z grobów tkwił wbity w ziemię kilof. Mężczyzna zaczął rozkopywać jeden z kopców, ale Marysia powstrzymała go. Pokazała mu skrawek wolnej od grobów ziemi.

– Поляки!¹ – mruknął z wyraźną niechęcią mężczyzna i zaczął kopać w świeżym miejscu. Nie było to jednak proste zadanie. Zmarznięta ziemia stawiała zaciekły opór, tak, że wiele razy praca wymagała wspomagania kilofem. Wreszcie po godzinie udało się wydrążyć w gruncie płytkie zagłębienie. Człowiek o kamiennym spojrzeniu przerwał kopanie i bezceremonialnie wrzucił zwłoki dziewczynki do niedokończonego grobu, po czym przysypał je kilkoma łopatom ziemi pomieszanej z lodem. Gdy skończył, spojrzął wymownie na dziewczynę i ruszył z powrotem.

Marysia rozejrzała się uważnie dookoła, starając się zapamiętać miejsce spoczynku siostry. Ostatnie promienie zimnego słońca wydłużyły cienie mogił. Drzewa szarpane wzmagającym się wiatrem malowały upiorne sceny na brudnoszarej ścianie budynku.

– Śpij, Basiu, moja kochana Basiu... – zaczęła dziewczyna, ale wrzucenie zdusiło głos w jej piersi. – Wybacz mi, że nie mogłam... – Szloch

¹ Polacy.

zatrzepotał jej drobną postacią wystawioną na porywy coraz zuchwalszego wiatru. Dziewczyna kucnęła i dotknęła mogiły drżącą ręką.

– Kiedyś tu przyjedziemy z mamą i zabierzemy cię do Polski – pociągnęła nosem, po czym wstała i nabrała mroźnego powietrza w płuca. Z okna na pierwszym piętrze wyglądała właśnie kobieta. Łapała oddechy, jakby chciała zaczerpnąć powietrza na zapas. Ktoś jednak wciągnął ją w ciemność i zatrzasnął okiennice.

Od strony budynku zbliżali się do niej jacyś ludzie. Okutana w łachmany kobieta w charakterystyczny sposób niosła na rękach zawiniątko, jakby to było coś bardzo cennego. Obok szli w milczeniu dwaj mężczyźni. Jedno spojrzenie wystarczyło, by domyślić się dramatu matki, która oddaje niemowlę zimnej ziemi. Dziewczyna poprawiła czapkę i ocierając oczy szalem przyspieszyła kroku.

– Nie zostawimy cię tutaj – rzuciła przez ramię w kierunku pogrążających się w mroku mogił.

Opowiadanie inspirowane dramatami deportowanych do Rosji Sowieckiej Polaków, których losy opisuje pani Ewa Kubasiewicz-Houée w swojej książce pt. „Przypomnij mi zapach chleba”, Wydawnictwo Lena Wrocław.

Tadeusz Karabowicz

Wrażliwość literacka na otaczający świat wyrażona w parabolicznych opowiadaniach Andrzeja Chodackiego

Opowiadania Andrzeja Chodackiego to najczęściej krótkie utwory literackie o parabolicznej treści, pisane z dużą wrażliwością literacką, posiadające indywidualne oraz czytelne miejsce w literaturze polskiej. Charakteryzuje je wyjątkowa i docelowa treść o niewielkich rozmiarach narracyjnych, najczęściej z jednowątkową fabułą. Utwory komponowane są z niebagatelną dozą emocji i zaangażowania oraz sytuowane najczęściej w bliższych lub dalszych wydarzeniach historycznych. Autor nadaje im zwartej budowy strukturalnej, o czym świadczą opisy, akcesoryjne refleksje lub drugoplanowe postacie. Od noweli – jako krótkiej formy literackiej, opowiadania autora różnią się jednak wyszukaną konstrukcją oraz treścią. To indywidualny styl Andrzeja Chodackiego rozpoznawalny na tle współczesnej nowelistyki polskiej, nawiązujący do przeszłości, lecz z wyraźną remarką ku przyszłości.

Podstawowa forma wypowiedzi opowiadań to pierwszoplanowa narracja personalna, prezentująca narastanie emocji w toku zdarzeń, a także świadoma opozycja wobec opisu. W opowiadaniach autora może zawierać się także fabuła zbliżona do noweli, jako krótkiej formy literackiej, pisanej z potrzeby serca, charakteryzującej się wyraźnie zarysowaną i sprawnie skrojoną akcją główną, mocno udratyzowaną, która zmie-

rza do punktu kulminacyjnego. Jednakże, jak już zaznaczono, fabuła utworów jest zazwyczaj jednowątkowa, z rozbudowaną akcją jednego epizodu, marginalnie zarysowanym opisem przyrody lub szczegółową charakterystyką postaci. Nowością autorską i zdobyczą opowiadań jest sugestywny komentarz dotyczący treści danego wydarzenia, oparty na wyrazistym obrazie, z pozoru nieistotnym, ale często nabierającym znaczenia symbolicznego. Andrzej Chodacki bowiem opiera je na wnikliwej analizie cech bohatera, jego postawy wobec świata i drugiego człowieka z czytelną linią moralną. W opowiadaniach autora akcja toczy się w określonym czasie i miejscu, a osobą opowiadającą jej przebieg, zazwyczaj w sposób „obiektywny”, jest jej autor ukazujący wydarzenia ze swoimi przyczynami i skutkami.

Utwory z prezentowanej książki Andrzeja Chodackiego można porównać do zwięzłych fabularnych portretów psychologicznych, gdzie opisy sytuacji z życia określonego środowiska lub bohatera przeplatają się z tradycją nowelistyczną XX wieku. Opowiadania Andrzeja Chodackiego zawierają autorski komentarz literacki, akcentujący aktualność poruszanych problemów, z narracją skierowaną do określonego kręgu odbiorców. Autor zwraca uwagę na subiektywność wyводу, na interpretację faktów lub wydarzeń, chociaż postuluje jasność i obiektywną precyzję w wyrażaniu opinii. Utwory mogą być postrzegane jako odautorski komentarz o faktach historycznych czy zdarzeniach.

W utworach autora można wyróżnić trzy główne płaszczyzny treściowe: czas, przestrzeń (jako koncepcja literacko-filozoficzna) oraz bohaterowie.

Koncepcja czasu w opowiadaniach Andrzeja Chodackiego jest niezależną od losów bohaterów wielkością biegnącą w takim samym rytmie jak w całym wszechświecie. Władą nią kierunek upływu czasu: od przeszłości, poprzez teraźniejszość ku przyszłości. Bohaterowie opowiadań wiedzą o upływie czasu, dlatego tak łączywie i z namiętnością trzymają się życia z jego symetrycznością i niesymetrycznością przestrzenną. Andrzej Chodacki stara się także przekazać w swoich opowiadaniach pamięć czasową. Tkwi ona bowiem w każdym człowieku i wyznacza najważniejsze azymuty istnienia, takie jak miłość, wierność, patriotyzm czy umiłowanie ojczyzny. Pamięć rejestruje, przechowuje

i przywołuje ważne dla jednostki informacje z przeszłości, a więc porządkuje zdarzenia w życiu człowieka oraz wyznacza przedziały czasowe między nimi, a także kieruje świadomością. Ludzka pamięć nie ma zdolności rejestrowania tego, co dopiero ma się wydarzyć w przyszłości. Percepcja czasu jest więc w opowiadaniach jednokierunkowa lub wyrasta ku wielu zdarzeniom. Realna jest terażniejszość – czyli obecna chwila. Stąd losy bohaterów bywają bolesne, zawiłe, oświetlone światłem indywidualnych przeżyć. Nie jest łatwo wejść w świat przeszłości każdego bohatera. Jednoznacznie określony byt lub niejednoznacznie zagmatwane istnienie w realnym świecie zdarzeń są kategoriami posiadającymi czytelność i jasność dyskursu. Przeszłość w opowiadaniach rozgałęzia się na wiele możliwości, prowadząc nas ku entropii, czyli tworzeniu funkcji zawirowań, które burzą zręby życia indywidualnego lub niweczą porządek historyczny.

Przestrzeń w opowiadaniach autora jest nie tylko zbiorem sytuacyjnych czy punktowych elementów, ale także definiuje amplitudę rozpatrywanych w niej zjawisk, mówi o istotnych dla autora odniesieniach i miejscach. Zapewne powinna być pojmowana jako przestrzeń filozoficzna definiująca ogół wszelkich relacji zachodzących pomiędzy koncepcją czasu a bohaterami, obiektami bądź miejscami symbolicznymi. Stąd można powiedzieć, że w opowiadaniach Andrzeja Chodackiego, przestrzeń ma także charakter patriotyczny, bowiem dzieje się w ważnych dla historii bohaterów miejscach – często tragicznych, w określonym oraz istotnym czasie ważnym dla rozpoznania dziejących się zdarzeń. Przestrzeń ukazana w opowiadaniach jest więc wyobrażeniem zaczerpniętym z doświadczenia, o niej mówią bohaterowie, wspomina o niej także narrator. To przestrzeń właśnie jest warunkiem możliwości pojawienia się owego doświadczenia, mającego różne oblicza: patriotyzm, poświęcenie, bezgraniczna miłość czy klęska i zdrada. Zawarte w opowiadaniach doświadczenie czasu i przestrzeni, jako koncepcji filozoficznej – posiada formy naoczności. Dają one czytelnikowi zaczerpnąć z krótkiej przecież formy literackiej – jaką pozostają opowiadania autora, autentycznego wzruszenia, zadumy nad życiem, zastanowienia się nad istnieniem historii w naszym bytowaniu, czy empirycznej namacalności przemijania.

Odrębną kategorię tworzą bohaterowie, których świat przedstawiony lub umiejscowiony jest w konkretnym czasie historycznym i których istnienie jest poświadczane dokumentami historycznymi lub opowieściami zwykłych ludzi (narratorów mających kontakt z autorem). Prawdziwość lub fikcyjność tych postaci i ich opowieści, ogranicza się do niemożliwości weryfikowania przedstawionych historii, cech, działań, myśli, odczuć i wypowiedzi. Tę dziedzinę fabuły autor rezerwuje bowiem dla siebie, tworząc tym samym fikcję literacką, tak ważną w jego twórczości literackiej.

Bohaterowie opowiadań to postaci charakteryzujące się męstwem, dzielnością, odwagą. Władają nimi także zwykłe emocje i postawy, takie jak strach, bojaźń, niepewność czy trwoga. Doświadczeniem bohaterów są zwykłe wydarzenia życiowe lub podniosłe pobudki: umiłowanie ojczyzny czy patriotyzm. Na zagrożenie odpowiadają męstwem, na zastraszenie odwagą i nieszczerzeniem krwi. W opowiadaniach Andrzeja Chodackiego czytelna pozostaje akcja utworów oparta na autentycznych faktach. Charakteryzuje ją klarowna hierarchia ważności występujących w niej osób. Można więc wyróżnić w utworach autora postaci pierwszo-, drugo- i trzecioplanowe, a spośród pierwszoplanowych – głównego bohatera, którego losy tworzą fabułę danego utworu. Postaci drugoplanowe czynnie uczestniczą w dziejących się wydarzeniach, trzecioplanowe zaś, epizodyczne, trwają w pojedynczych sytuacjach, zaistniałych na marginesie głównego nurtu wydarzeń.